

ODNOWA

TYGODNIK

10 Styczeń 1937 r.

Niedziela

Rok II. Nr. 4 (3).

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

TREŚĆ NUMERU:

— K. B. Pan Twardowski. — *Tot.* Raptularz tygodniowy. — *Fr. M.* Pytania wstępne. — *Adam Ordęga.* Światła i cienie reformy szkolnej. — *Albin Wroński.* Golgota pacyfizmu. — Kronika zagraniczna. — Przypomnienia. — *Andrzej Przełęcki.* Drogi i bezdroża pana wojewody. — Z 7 dni. — Świat pracy. — *Ks. Dr. Jan Piwowarczyk.* Korporacjonizm. — *Cyrano.* Preteksty. — *A. W.* Przegląd prasy krajowej. — *Azet.* Z prasy zagranicznej.

Ant - a Synowa historia

Pan Twardowski

Akcja dramatu Twardowskiego rozgrywa się na prowincji, na znanym tle pustki ziewającej pomiędzy urzędem, ratuszem i knajpą. Jakby pod kloszem, w rozrzedzonej atmosferze nudy i mnóstwa czasu wolnego, napiętności ludzkie i starcie ich doznają mocy i napięcia, którego nie znajdzie się łatwo w zgęszczeniu wielkich miast: najciekawszy teren studjów psychologa i pisarza.

Na takim gruncie, w zapadłym kącie solidnego a przyziemnego Pomorza zjawiał się podhalanir Twardowski: chłop młody, rosły, dorodny, o orlim profilu, bystrem oku i krwi gorącej, burzliwej. Jak każde obyczaj, przeskoleniem była mu służba wojskowa, w oddziale II. Przewodnikiem i opiekunem zaś stał się wojewoda, który sam zaprawiał się do swych zadań w żandarmerji wojskowej. Nic też dziwnego, że w tym obu ludzi układzie powiat rychło przeobrazić się musiał w przedziwny teren operacyjny, a zasady administracji kształtowały się w umyśle posłusznego oficera na obraz zawilej taktyki i strategji. Ulubionem wojewody zaleceniem było „w szczękę”. Nie było jednak wypadku, by młody starosta je zastosował: jego zaciśnięte, wąskie usta i mocne, zbójnickie oczy odejmowały każdemu ochotę do próby sił, zaczęły teren przeorany został gruntownie, zaś wybory dały wynik „totalny”.

Była w instrukcjach wojewodzińskich, wśród innych wielu, luka ważna, którą dopełniał spryt i domysł, i zarazem bujny temperament starosty. Wiadomo, że kierownictwo i sztab jego rozwijać musiały szeroką aktywność w terenie. W pustce życia prowincjonalnego wszelka ruchliwość staje się zapalczą, niepokojna i... kosztowna. Gdy po zwycięskim końcu wyborczej kampanji stanęła na porządku dziennym sprawa „pokrycia” jej kosztów, starosta miał do dyspozycji tylko furę kwitków. Była próba dyskretnego rozwikłania tej trudności. Wojewoda dał lekkoduchowi „w szczękę”, i wycofał go z obiegu, proponując miejsce w jednym z swych biur. Twardowski staje dęba: robił tylko, co mu kazano, spełnił polecenia. Qui veut la fin, veut les moyens. Wiadomo, że nie nalewał z pustego. Na propozycję posady, odpowiada zuchwale „nie szukam cichej przystani życiowej, ani nie zamierzam dosługiwać się orderu podwiązki na toruńskim dworze”. Wezwano prokuratora i starosta powędrował zaraz do aresztu.

W samotności celi i w bezsilności wszystkich swych dobrych racji poznawać miał starosta nędzę, i zarazem okrucieństwo systemu, w który się zaplątał. Złodziej grosza publicznego? Nie kradł, nie schował, ani nie odłożył, boć każdy widzi, że wraz z rodziną stoi na krawędzi czarnej nędzy. Do rąk jego istotnie nie z tych wielu tysięcy nie przylgło. To trzeba

jednak wykazać, udowodnić. W celi więzienia poznał pan starosta zasady budżetu, prawidłowego wydatkowania, kontroli, dowodu kasowego, etc.

W tem jest wielka sensacja sprawy Twardowskiego: wprost pojąć niepodobna, żeby nad nim, ani dokoła niego nie było nic z kontroli i nadzoru, żeby dla okrutnej precyzji aparatu, który zbiera podatki, oblicza odsetki, wзира w nasze życie, księgi, rozchody i dochody nie było po drugiej stronie żadnego odpowiednika? Żeby tam, w terenie akcji politycznej i administracyjnej zaczynały się dla urzędnika jakieś dzikie pola, pełne niesamowitej swobody i niebezpieczeństw? Nie dość gorszyć się i zalić, trzeba wskazać przyczynę: najzdolniejszy oficer służby wywiadowczej czy żandarmerji nie potrafi przeobrazić się, i wyżyć pewnych pojęć, metod, nałogów. Bezwidnie, w najlepsze czasem wierze niesie w swoim osobistym ba-

gażu nazbyt wiele dowolności w wyborze środków, licencji moralnej, która działa wybuchowo. Twardowski pod kierownictwem swojego wojewody widział dwie możliwości psychologiczne, uschnąć i zgrzybić w ciasnych ramach regulaminów, lub też rozsadzić je. U kresu tej drugiej drogi, tej swobody znalazł niespodzianie hańbę i straszny ból, rozczarowanie, poczucie krzywdy, poniżenia, wstydu, któremu niepodobna — mimo wszystko — odmówić ludzkiego współczucia i żalu.

Taki był sens wyroku drugiej instancji. Sąd apelacyjny w Poznaniu orzekł, że wolny jest od winy nadużyć finansowych i hańbiących czynów, że wraca do pełni praw obywatelskich, ale skazany zostaje za nadużycie władzy. Zaczem wraz z podsądnym potępiono tego, co w ręce niedoświadczone i niewypróbowane tyle oddał władzy.

K. B.

Raptularz tygodniowy

(ROZRACHUNKI DOROCZNE — DZIWNE OBJAWY — MĄDRA ZABAWA: ZGADUJ ZGADUŁA).

Zapewne w celu łatwiejszego ustalenia wątku dla artykułów świątecznych i noworocznych odbyły się w okresie Sylwestra i Nowego Roku narady parlamentarne nad pożyczką francuską. Stąd łatwy punkt wyjścia do przeróżnych deliberacyj na temat pożyczki „gwarantującej pokój”. Co ta pożyczka gwarantuje — zobaczymy niebawem. Pewnem jest, że wybawiła wielu publicystów z kłopotu, zdawało się im, że stanęli choć jedną nogą na twardym gruncie rzeczywistości. Nie musieli natomiast poruszać spraw wewnętrznych. Bo przecież dziwna to Konstytucja, dziwny ustroj władz państwowych, o którym się nie pisze, o którym się nie mówi. Oczywiście, mówią w miarę możności przeciwnicy. „Państwo dorocznik”, którzy sobie tyle gratulowali i nawiątwali przed niespełna dwoma laty, obecnie ze zwieszoną głową szukają innego tematu do rozmowy. A jak Polska długa i szeroka wszyscy tłumaczą, że tak dalej być nie może i być nie powinno. Wystarczy wziąć do ręki dziennik bydgoski, tygodnik stanisławowski, *O b r o n ę l u d u* z Torunia, czy *E c h o p r z e m y s k i e*, aby ustalić jedność form i identyczność poglądów. Niema dwóch zdań w Polsce — o najważniejszych zadaniach chwili — oto wniosek z lektury pism świątecznych i noworocznych. Ci, którzy naród wychowywać chcieli i uczyć go zmysłu państwowego, mają teraz odpowiedź. Naród pragnie reformy państwowej. To można wyczytać w kilku setkach artykułów, rozpraw, wywiadów i opinji. Czy trzeba je wyliczać po kolei? Wszyscy je czytali i wszyscy zrozumieli. — Oczywiście na boku pojawiają się

zawsze i wszędzie harcownicy. Młyn miele i wyrzuca także nieużytki. Widzimy je i wiemy, że teraz jest ich więcej, bo praca w młynie idzie większa. W ciągu kilku dni różni lekarze programowi stanęli u łóża państwowości i rozpylają swą wiarę.

Więc jeden radzi uderzyć na Czechosłowację, drugi wiwatuje na cześć Niemców w Hiszpanji, trzeci wietrzy szczęśliwą ofensywę na Sowiety. Dokąd trzej pedagogowie tak śpiesznie dążycie? Śpieszno im chyba do wojny i to podwójnej. Niewyżyte temperamenty pp. Studnickiego i Bobrzyńskiego muszą zaciekać ich opiekunów lekarskich, p. Mackiewicz zastępuje teraz wszelką myśl — ekscentrycznością, która nieepochlebnie świadczy o poziomie uprawianej przezeń publicystyki. Bo gdy chciał coś poważnego o Polakach na Litwie napisać — zdobył się tylko na ewokację, która z wypracowaniami ucznia byłaby z pewnością należycie ocenioną, ale z programem politycznym nic nie miała wspólnego. To zaś, że ci panowie mogą tak zgodnie wypisywać, co tylko im do głowy przyjdzie, dowodzi swoją drogą o przejściowej sytuacji, o kryzysie ideologicznym, powstałym na gruncie dziesięcioletniego ugorowania gleby politycznej. Nieuchronnym a równoległym do zastoju politycznego objawem jest bujna flora wszelkich cudacznych, znachorskich i innych pomysłów. Kancelarje niektórych urzędów, redakcje pism i oczywiście sekretarjaty wysoko postawionych osobistości grzęzną w stertach pism, memorjałów a nierządno foljałów, nadsyłanych przez ochotnych uzdrowicieli ojczyzny. Pochodzi to z ogólnego poczucia, że ci, którzy powinni, nie wiele w tym kierunku sami pracują. Stroskani obywatele sami poczynają pisać stosownie do swych możliwości i umiejętności. Powstanie muzeum okropności patriotycznych, ale wiadomo, kto falę podniósł a powstającej nie za-

Tot.

Pytania wstępne

Nie od dziś mnożą się oznaki moralnego rozgromu w obozie rządowym, czy — jak kto woli — sanacyjnym. Gdy przedtem różni ludzie z przyczyn mniej lub więcej oportunistycznych starali się dostać do tego obozu, teraz widzimy zjawisko odwrotne: obóz sanacyjny stara się o przyciągnięcie nowych sił, nowych ludzi i grup polityczno - społecznych. Przy licznych sposobnościach składane są w tej lub innej formie oferty ze strony różnych odłamów obozu sanacyjnego pod adresem różnych odłamów opozycji. Jak tonący, który wymachuje w nieskoordynowany sposób rękami, byle uczepić się zbawczej deski, tak obóz sanacyjny wyciąga rękę p. Miedzińskiego z „Gazety Polskiej”, to znowu p. Czarnockiego z „Kurjera Porannego”, zapraszając opozycję do zgody, do puszczenia w niepamięć przeszłości, do współpracy.

Okres świąteczny szczególnie się nadaje do szczerych — i, niestety, równie nieszczerych — prób pojednania. Formalny zaś punkt zaczepienia do takich prób ze strony obozu sanacyjnego dał artykuł p. Strzetelskiego w „Gońcu Warszawskim”. P. Strzetelski w artykule p. t. „Rozgardjasz ideowy w Narodzie Polskim” wyraził powabnie sformułowany pogląd, że obóz rządowy jest za słaby, aby zdobyć społeczeństwo, natomiast opozycja jest za słaba, aby zdobyć rządy. Należy wobec tego myśleć o innej drodze rozwiązania konfliktu rządu i opozycji, aniżeli dotychczasowe metody i dotychczasowa walka.

Jakby echa artykułu p. Strzetelskiego odezwały się dwa organy sanacyjne. Tak dalece jest to zastanawiające, że dla kogoś, kto nie zna polskich stosunków politycznych, mogłoby to wyglądać wręcz na dyskusję zgóry umówioną. Wiemy, że tak nie jest, chociaż wrażenie to potęgują komplementy, jakie p. Miedziński kieruje pod adresem „Gońca Warszawskiego”, co, nawiasem mówiąc, nie jest znowu najlepszą rekomendacją dla tego pisma, jeśli chodzi o jego dotychczasowych czytelników i przyjaciół.

Wystąpienia obydwóch czołowych organów sanacyjnych — „Gazety Polskiej” i „Kurjera Porannego” — są w gruncie rzeczy bardzo podobne, z tą tylko różnicą, że „Kurjer Poranny” wypowiada się w sposób bardziej konkretny. Jednakowo wszakże obydwaj panowie, i p. Miedziński i p. Czarnocki, stwierdzają głęboki rozkład obozu rządowego: „ostatnie reformy organizacyjne naszego obozu” — pisze p. Miedziński — „uległy dekompozycji. Dopuszcziliśmy do tego z pełną świadomością...” P. Czarnocki tak charakteryzuje obecną ordynację wyborczą: „eksperyment się nie udał; to trzeba stwierdzić.” A potem sytuację polityczną po rozwiązaniu BBWR: „Zawieszono bowiem rząd w próżni, odcięto go od społeczeństwa i co gorsza — zdeзорjentowano społeczeństwo.”

Już po raz drugi jesteśmy świadkami,

że najbardziej miążdżąca krytyka dotychczasowych poczynań obozu sanacyjnego pochodzi właśnie z ust czołowych jego przedstawicieli. Gdy p. Kwiatkowski wygłaszał pierwsze swoje exposé jako wicepremier w gabinecie p. Kościalkowskiego, zestawił bilans sytuacji gospodarczej tak ciężki, jak nikt przed nim. Wykazał przez liczne porównania, że nie sam tylko „kryzys” zapędził nas w trudności tej skali, ale i polityka gospodarcza, przez ubiegłe dziesięć lat uprawiana. Dzisiaj to samo robią w dziedzinie politycznej pp. Miedziński i Czarnocki.

Jakże to bowiem? Po dziesięciu latach nieskrępowanych niczem rządów ideologia obozu sanacyjnego okazuje się tak wątła, że puste i bez treści formy ulegają „dekompozycji”? I — jeśli istotnie tak jest, jak p. Miedziński głosi — obóz sanacyjny dopuszcza do tego z całą świadomością, nie mając wypracowanych ani innych form, ani żadnej ideologii, któraby mogła być tych jakichś nowych form, o które p. Miedziński woła, podstawą? To takie obóz sanacyjny sam sobie przyznaje kwalifikacje do rządzenia nie tylko państwem ale i społeczeństwem? A czy p. Czarnocki zdaje sobie sprawę, jakiego kalibru oskarżenie formułuje pod adresem swego obozu, gdy pisze, że „zawieszono rząd w próżni...” i że „zdeзорjentowano społeczeństwo”?

I t e r a z, kiedy „ostatnie formy organizacyjne naszego obozu uległy dekompozycji”, kiedy „zawieszono rząd w próżni”, kiedy „zdeзорjentowano społeczeństwo”, t e r a z dopiero przychodzi się do tego społeczeństwa z ofertą polityczną, z zaproszeniem do współpracy? I cóż t e r a z obóz sanacyjny ma do wniesienia, jako kapitał zakładowy tej współpracy? Oczywiście, zdecydowaną niepopularność — żeby użyć jak najdelikatniejszego słowa — w społeczeństwie? Wyjaślenie ideowe życia społecznego? Naruszenie poczucia prawa i praworządności? Czy może zespół takich dezorganizatorów życia społecznego i politycznego, jak pp. Moraczewski, Jawcrowski i różnego autoramentu „kadzichłopy”? Strzelca? Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet?

W czyj imieniu przemawia dzisiaj i m a p r a w o przemawiać p. Miedziński? Jakim i n s p i r a c j o m ulega p. Czarnocki? Przecież formy organizacyjne obozu rządowego, jak nas zapewnia p. Miedziński, uległy — rzekomo świadomej — „dekompozycji” (po polsku: r o z k ł a d o w i). Kto miarodajny żyruje te oferty i kto dzisiaj w obozie rządowym m o ż e udzielić takiego żyra? Bo pp. Miedziński i Czarnocki mogą sobie pisać, co uważają za właściwe, ale to jeszcze nie jest wcale miarodajne.

P. Czarnocki z pośród ugrupowań opozycyjnych „wybiera” sobie te, z którymi życzyłby sobie współpracy obozu rządowego. Zupełnie tak, jakby już nie p. Czarnocki, ale chociażby obóz rządo-

wy, miał pełną swobodę wyboru. Życzy sobie mianowicie p. Czarnocki, aby powstało „szerokie porozumienie”, idące w ideowym kierunku poprzez radykalno-społeczne i demokratyczne grupy dawnego Bloku aż po te odłamy organizacji chrześcijańsko - demokratycznych, które współpracę nawet z socjalistami mają już w swych tradycjach partyjnych, a ostatnio często realizują ją w akcjach zawodowych. To szerokie porozumienie demokratyczne rozwiązuje również w dużym stopniu sprawę t. zw. Frontu Morges, któryby stał się wówczas nieaktualny, bo doskonale zmieściłby się w szerszej koncepcji”.

Wielka szkoda, że ten tak piękny obraz namalowany jest tylko w połowie. Wielka szkoda, że p. Czarnocki nie rozważył, kto koło kogo mógł stanąć. Czy „odłamy organizacji chrześcijańsko - demokratycznych” — dlaczego to tylko „odłamy”? koło p. Rzymowskiego i „Kurjera Porannego”? Czy szef rządu obrony narodowej w 1920 r., p. Witos, ma stanąć tuż koło p. Miedzińskiego? Czy to tak ma być rozwiązana „w dużym stopniu sprawa t. zw. Frontu Morges”? Czy gen. broni J. Haller ma trzymać się pod rękę z p. Moraczewskim?

Podstawę ideową wysuwanej przez siebie koncepcji upatruje p. Czarnocki w potępieniu komunizmu przez PPS i Stronnictwo Ludowe w tym, że stronnictwa te powzięły uchwały „w sprawie wzmocnienia obronności państwa i możliwość rozszerzenia tych uchwał w kierunku uznania autorytetu Naczelnego Wodza nie tylko w zakresie obronności kraju, ale i w dziedzinach związanych ze wzmocnieniem tej obronności...” Stronnictwa opozycyjne mają poczucie odpowiedzialności za losy państwa i jeśli chodzi o obronność kraju, to nikt nie potrzebuje ani pouczać, ani zachęcać, ani nawet — to byłoby dobrze zapamiętać — łaskawie chwalić. Tylko możeby p. Czarnocki nieco jaśniej wytłumaczył się, co to za „m o ż l i w o ś ć rozszerzenia tych uchwał w kierunku uznania autorytetu Naczelnego Wodza nie tylko w zakresie obronności kraju, ale i w dziedzinach związanych ze wzmocnieniem tej obronności” ma na myśli? Jeśli należy wątpić, czy p. Czarnockiemu przysługuje prawo przemawiania w imieniu obozu sanacyjnego, to nie mamy wątpliwości, że n i e p r z y s ł u g u j e mu prawo przemawiania w imieniu ugrupowań opozycyjnych.

Obronność kraju — to wielkie zagadnienie. I byłoby stokroć lepiej, gdyby prasa sanacyjna w poszukiwaniu dróg ratunku dla swego obozu nie używała tego zagadnienia, jako podstawy i odskoczni do swych kombinacji politycznych. Lepiej właśnie dla zagadnienia obrony kraju, które musi cementować całe społeczeństwo, a nie służyć jako rezerwoar do transfuzji krwi w „dekomponujące” się — jak pięknie mówi p. Miedziński — formy, a my dodamy: i treść ideową — obozu sanacyjnego.

I jeszcze jedno: jeśli się chce z kimś s z c z e r z e mówić o porozumieniu,

trzeba odłożyć wprzód pałkę. Trzeba zrezygnować z ciągle wywieranej przemocy. Pp. Miedziński i Czarnocki — jakże tutaj jednakowi — nie tylko tego nie zrobili, ale nawet się o tem nie zająknęli. Jeszcze nie zrozumieli dostatecznie, że rola kierownika dla obozu sanacyjnego skończyła się już bezpowrotnie w życiu społecznym Polski. Pozostało im jeszcze przywiązanie do władzy zbyt długo sprawowanej. To łączy wielu członków tego obozu mimo wewnętrznego skłócenia i tej władzy z rąk nie chcą wypuścić. Stąd te próby „porozumienia”, te wysiłki podtrzymania rozpadającego się zespołu. Ale nie mogą zdecydować się na najmniejszy nawet czyn, któryby wzbudził

w społeczeństwie zaufanie w szczerść ich intencji.

Poczekamy, aż pp. Miedziński, Czarnocki i inni, którzy za nim stoją, lepiej sobie rozważą zagadnienia, o których piszą. Radziłyśmy, aby to nastąpiło szybko, trafnie bowiem pisze p. Czarnocki, że „pilne i najżywoźniejsze potrzeby państwa nie mogą czekać”. Radziłyśmy też zalecić do pilnego rozważenia pewien wspominek historyczny: gdy, mianowicie, francuski prezes rady ministrów niejaki p. Georges Clemenceau, nie mógł sobie dać rady z reprezentacją opinii publicznej, z parlamentem, oświadczył krótko: „Je m'en vais”.

I podał się do dymisji.

Fr. M.

ADAM ORDEGA

Światła i cienie reformy szkolnej

(Dokończenie).

Nawet bez polityki Jędrzejewiczów faktyczny układ naszych stosunków państwa do szkoły, że dogmat 7-klasowej szkoły powszechnej zaczął się stawać utopją. Na skutek kryzysu gospodarczego zaczynała się jazda wdół, która nie zatrzymała się na 4-klasówce, lecz coraz szybciej zbliżała się do jednoklasówki. Ta stała się typem powszechnym szkoły wiejskiej.

Tragedję oświatową wsi polskiej ustawa Jędrzejewiczów spotęgowała jeszcze przez ustalenie trzech stopni organizacyjnych i programowych szkół powszechnych, przyczem przejście ze szkoły powszechnej do średniej będzie możliwe tylko ze szkół powszechnych drugiego i trzeciego stopnia. Szkoły pierwszego stopnia nie będą uprawniać do dostania się do szkoły średniej. Ponieważ szkoły te będą niewątpliwie typem dominującym, faktycznie przekreśliła to możliwość dostania się dziecka chłopskiego do szkoły średniej.

Dla kultury narodowej oznacza to zmniejszenie dopływu świeżych sił ludowych do warstwy inteligenckiej. Nie potrzeba tłumaczyć, jaka groźba tkwi w takim zjawisku. Mamy wrażenie, że rząd obecny zrozumiał to, tylko że dziś już nielatwo znaleźć środki budżetowe na naprawę tej krzywdy. Bo owych tysięcy stypendystów chłopskich, o których premier mówił niedawno w sejmie, to plasterek, który rany nie zagoi. Wszak w Małopolsce przed wojną światową bywały całe gimnazja o przewadze elementu chłopskiego. Ustawa o ustroju szkolnictwa zacieśniła bazę rekrutacyjną warstwy inteligenckiej. Elita typu jędrzejewiczowskiego chciała się ustawowo odciąć od wsi i chłopów.

Rozbicie szkoły średniej na dwa stopnie: 4-letnie gimnazjum i 2-letnie liceum kryje w sobie również poważne niebezpieczeństwo. Wedle pierwotnej koncepcji rozsianie liceów miało być daleko rzadsze, niż rozsianie gimnazjów. Na szczęście dla kraju prof. Świętosławski uchylił tę zasadę jędrzejewiczowską, de-

cydując, że przy każdym gimnazjum istnieje będzie liceum, co wywołało dąsy p. Jędrzejewicza na ostatniem posiedzeniu Rady Oświecenia Publ.

Zważywszy, że wiek wychowanków gimnazjum zamyka się w granicach od 12 do 16 roku życia, zrozumie się całą trudność ułożenia programu. Jakże w ciągu 4 lat skupić program jako tak bodaj wyczerpujący główne zagadnienia z literatury czy historii, jak w tych warunkach wygląda program łaciny, języków nowożytnych czy przyrodznawstwa? Można na podstawie dotychczasowych doświadczeń i głosów fachowej prasy pedagogicznej snuć uzasadnione obawy, że gimnazjum samo w sobie zamknięte stałoby się wylęgarnią półinteligencji, nie sposób bowiem w tak krótkim czasie, w okresie w dodatku przełomowym w psychicznej budowie życia młodzieży skupić zackrąglony i systematyczny zasób wiadomości.

Istnieje jeszcze jedna niedogodność, związana z roz biciem dotychczasowego gimnazjum. Zmusza ono młodzież o 2 lata wcześniej do wyboru jednego z kilku typów liceów, przesądając tem samem do pewnego stopnia już o wyborze zawodu, co w dzisiejszych warunkach gospodarczych, nie było problemem łatwym do rozwiązania nawet dla absolwenta dawnego 8-klas. gimnazjum.

Dodatnią stroną ustawy o reformie szkolnictwa jest rozbudowa szkolnictwa zawodowego, choć jest ona w chwili obecnej skrepowana przesileniem gospodarczym, całe zaś rozporządzenie o organizacji szkół zawodowych ze swą niezmiernie drobiazgową i sztuczną konstrukcją więcej odpowiada się zdaje schematom teoretycznym niż realnym wymogom życia. Samo jednak położenie nacisku na to zagadnienie, jak i podkreślenie momentów gospodarczych w programie zasługują na uznanie. Równocześnie uchwalono ustawę o szkolnictwie prywatnem. Ta ustawa jeszcze wyraźniej odsłania cele oświatowe regimu. Idzie o rozciągnięcie władzy bu-

rokracji nad każdą komórką życia społecznego. Szkoła prywatna odgrywa do dziś olbrzymią rolę wychowawczą na terenie b. zaboru rosyjskiego. Miasta takie jak Warszawa, Łódź stoją głównie szkolnictwem prywatnem, które dobo-rem pierwszorzędnym często sił nauczycielskich, wyposażeniem pracowni i t. p. górują nad szkołami państwowymi.

Sfery sanacyjne nie mają jednak zaufania do prawowierności tych szkół wobec regimu. Ustawa daje wpływ zupełnie nieograniczony władzom szkolnym na kierunek prac w szkole prywatnej. Omnipotencja biurokracji i tu święci swe trjumfy. Nauczyciela czy kierownika w szkole prywatnej można w każdej chwili nie dopuścić do pracy lub usunąć. Szkole prywatnej nie wolno nawet używać podręczników, nie zatwierdzonych przez władze szkolne. Nie łożąc żadnych wydatków na szkołę prywatną, zapewnia sobie rząd wszechwładny wpływ na nią.

W jakim kierunku zaś szło wykonanie tej ustawy, wskazują wyraźnie zajścia przed kilku laty w szkole Platerówny w Warszawie. Nie bacząc na długoletnią tradycję tej szkoły, na jej wysoki poziom naukowy, odebrano jej w ciągu roku wszelkie prawa za to... że kilka uczennic na akademii imieninowej nie wstało podczas śpiewania „Pierwszej Brygady”. Bo o to właśnie idzie: chce się podciąć u korzeni szkołę prywatną, jeśli nie idzie niewolniczo na pasku sanacji.

Niestety nasi zwolennicy totalizmu państwowego ciągle szerzą sugestję, że tylko i jedynie państwo ma prowadzić całe szkolnictwo. Wszyscy oni zapominają, że mogą istnieć społeczeństwa, w których szkoła prywatna jest typem dominującym, a mimo to społeczeństwa te mają o wiele większe wyrobienie państwowe, niż ludność państw totalnych, czego klasycznym przykładem jest Anglja. Ale pomijając już ten argument, trzeba pamiętać o innym: całkowite przyjęcie ciężarów związanych ze szkolnictwem w kraju przez państwo, to niepomierne obciążenie naszego budżetu. Dlatego trzeba wesprzeć nasze szkolnictwo prywatne, a nie podcinać je.

Streszczając nasze wywody można rzec: ustawa o ustroju szkolnictwa z 1932 roku kryje w sobie daleko więcej cieni niż światła. Jej największym błędem jest niepotrzebne rozbicie szkoły średniej i utrudnienie warunków kształcenia warstwie chłopskiej. Można było wybrać dwie drogi naprawy tej ustawy: albo nawrócić całkowicie do dawnego stanu, przed reformą, albo stanąć na gruncie ustawy i łagodzić te jej braki, których absurdalność życie aż nazbyt szybko wykazało. Prof. Świętosławski wybrał drugą drogę.

Rozumiemy doskonale, że prof. Świętosławski najprawdopodobniej w obawie przed zbyt wielkim wstrząsem, wybrał drogę drugą, ale mamy głębokie przekonanie, że całe pokolenie młodzieży zapłaci za eksperymenty braci Jędrzejewiczów zupełnie bez zysku dla kraju. I dlatego wydaje się nam, że droga pierwsza, droga pełnego przekreślenia reformy szkolnej byłaby tu bardziej celowa.

ALBIN WROŃSKI.

Golgota pacyfizmu

Historja koncepcji organizacji międzynarodowej, zdolnej doprowadzić do powszechnego bezpieczeństwa, t. j. do zniesienia wojen, jest chyba najbardziej niebezpieczną kartą ludzkich poczynań.

Politycy, uczeni i myśliciele co najmniej od początku XVII wieku wyrażali swe niezadowolenie z panującego stanu międzynarodowej anarchji (wcześniejszym dość dawała do myślenia anarchja wewnętrzna) i czynili projekty, mające jej zaradzić. Sully, William Penn, de Saint-Pierre, Rousseau, Kant zajęli wśród nich pierwsze miejsca. Projekty ich, śmiałe i przemyślane do końca, mają tę wspólną cechę, że nie dają się zwieść mirażowi o skuteczności poczynań ludzkich, nie opartych w ostatnim rzędzie o siłę fizyczną. Odznaczają się wiarą w możliwość stworzenia takiej siły, na usługach organizacji międzynarodowej, mającej służyć pokojowi i sprawiedliwości pomiędzy narodami.

Jeśli sceptykowi wiara taka może się wydać naiwną, to w każdym razie nie przeciwstawiono tym projektom nigdy innych, mogących im dorównać logiką. Bywają zresztą okresy, kiedy wiara ta, oparta na niebłahych argumentach, jest dość powszechna. Planom de Saint-Pierre'a udzielił moralnego poparcia m. in. sam Leibnitz, uważając je za możliwe do zrealizowania i jak najbardziej pożyteczne.

Kostywnie wyraził się o nich tylko Fryderyk Wielki, pisząc do Voltaire'a: „Rzecz jest do zrobienia, potrzeba tylko zgody Europy i kilku innych błahostek tego rodzaju”.

Początek XX wieku rozpoczyna nowy okres ożywionego ruchu pacyfistycznego, opartego o koncepcje na sile międzynarodowej. Zapomniało się już o tem, ale inicjatywa była bardzo poważna. W roku 1910 Senat i Izba reprezentantów St. Zj. A. P. przyjęły rezolucję, w której projektuje się wyraźnie stworzenie międzynarodowej floty. Anglja na tę inicjatywę odpowiedziała bardzo przychylnie, aczkolwiek nie angażując się zbyt. Późem — sprawa spokojnie zasnęła.

Teodor Roosevelt, polityk realistyczny, mówił o możliwości stworzenia policji międzynarodowej tonem zupełnie poważnym i niewątpliwie szczerym. Wogóle sprawa ta była wówczas w Ameryce bardzo popularna. Obok mężów stanu występowali z inicjatywą wybitni oficerowie (kontradmiralowie Goodrich i Kinkaid), uczeni (dr. Butler) i finansisci (Carnegie). Powstawały wpływowe organizacje, jak stworzona w 1915 roku League to Enforce Peace z ex-prezydentem W. H. Taftem na czele. Prawie wszystkie projekty przewidywały, jako środek do utrzymania pokoju, organizację międzynarodową, wyposażoną w armję i flotę.

Na kontynencie ruch pacyfistyczny o tym odcieniu rozwijał się najintensywniej w Holandji, gdzie również inicjatywa „międzynarodowej policji” podnoszo-

na była przez uczonych (Vollenhoven) i wysokich wojskowych (baron von Asbeck i gen. Poortugael). Z analogiczną inicjatywą w Anglii występowała „Liga do zniesienia wojny” z Herbertem Steadem na czele.

Jakie były rezultaty akcji, w której największe autorytety z dziedziny wiedzy, wojskowości i polityki zostały rzucone na szalę? Dosłownie żadne. Zbrojenia rosły od mniej więcej 1860 roku nieprzerwanie, przyspieszając jeszcze swe tempo od początku XX stulecia.

Po „wojnie przeciw wojnom” wiara w możliwość naprawę silnej i skutecznej organizacji międzynarodowej była powszechna. Człowiekiem, na którego liczone, był prezydent Wilson. A jednak pomimo zapału tłumów, mimo wielkiej popularności i szczerego poparcia ze strony niektórych wybitnych delegatów (Leon Bourgeois) Wilson musiał kapitulować. Uczynił więcej nawet, wyparł się swych zamierzeń. Uzasadniając bla- dość paragrafów sankcyjnych Paktu

Kronika zagraniczna

PRZYJAŹŃ FRANCUSKO - POLSKA.

Zarówno izba poselska jak i senat parlamentu francuskiego przyjęły jednomyślnie ustawę o gwarancji rządu francuskiego dla pożyczki polskiej. Była to wspaniała i wymowna manifestacja przyjaźni dla narodu polskiego. Od prawicy po komunistów nie znalazł się ani jeden poseł czy senator, któryby głosował przeciw ustawie. Stało się to możliwe wskutek wyczerpujących wyjaśnień, udzielonych przez min. Delbosa w komisjach obu izb. Uspokoiły one parlament co do celów polityki polskiej i warunków, w których przyjsię z pomocą rządowi polskiemu na cele obrony narodowej stało się dla Francji możliwe. Wyjaśnienia te podkreśliły znaczenie podróży Generalnego Inspektora Armji polskiej do Francji i wyjaśniły treść protokołu z Rambouillet. Należy je zapamiętać i w Polsce. Zwłaszcza wobec głosów, które w polityce ostatnich miesięcy chciałyby widzieć tylko kontynuację polityki p. min. Becka.

LITWA.

Ostre słowa p. min. Becka pod adresem Litwy w końcowym przemówieniu na posiedzeniu komisji spraw zagranicznych senatu ożywiły zainteresowanie prasy sprawami stosunków polsko - litewskich i losem mniejszości polskiej na Litwie. Jak na komendę posypały się znów informacje i żale. I jedno i drugie niewątpliwie słuszne. Stosunek Litwy do Polski jest zupełnie niemożliwy i los mniejszości polskiej tamże nie do zniesienia. Ale zarówno słowa ministra jak i kampanja prasowa o tyle tylko mają sens, o ile są wstępem do szerszej zakrojonej akcji, mającej na celu zmuszenie Litwy pokojowymi środkami do zmiany stanowiska. Niestety nie widzimy ani planu takiej akcji, ani nawet warunków do niej. Warunkiem istotnym jest tu osamotnienie Litwy. Tymczasem stosunki litewsko - sowieckie układają się pomyślnie. Litwa wchodzi w skład związku bałtyckiego z Łotwą i Estonją, nawet stosunki z

tem, że Liga nie ma być „instrumentem wojny”, zaprzeczył swym słowom, wypowiedzianym dwa lata wcześniej w Senacie: „Proste porozumienie nie może zapewnić pokoju. Trzeba stworzyć siłę o takiej wyższości... aby żadne państwo, ani żaden możliwy sojusz państw nie był w stanie przeciwstawić się jej ani jej lekceważyć. Ażeby pokój, który budujemy, był trwały, musi być gwarantowany przez największą zorganizowaną siłę ludzkości.” Wielkie były kiedyś nadzieje łączone z temi słowami.

Jeśli Liga Narodów jest paljatywem, to w niemieckim stopniu jest nim protokół z 1924 roku. Postęp w dziedzinie stosunków międzynarodowych jest minimalny, żeby nie powiedzieć żaden. Rozpatrując wysiłki, których dokonano i rezultaty, które osiągnięto, przychodzi na myśl zniecierpliwiony wykrzyknik Rousseau'a „Jeżeli mimo wszystko projekt ten („wiecznego pokoju”) opartego na sile międzynarodowej) pozostaje niewykonany, to nie dlatego, żeby był chimeryczny, ale dlatego, że ludzie są głupi i jest rodzajem szaleństwa być mądrym między szaleńcami”.

Niemcami uległy ostatnio poprawie. Były znacznie korzystniejsze momenty, których jednak wyzyskać nie umiano. Nie zdaje nam się, aby obecnie moment był dla nas korzystniejszy i dlatego nie widzimy celu obecnej kampanji. Lepiej zaczekać, zacisnąwszy zęby.

POROZUMIENIE ANGIELSKO - WŁOSKIE.

Gentleman agreement w sprawie morza Śródziemnego pomiędzy Anglją a Włochami zostało ogłoszone w formie wymiany not i wspólnego oświadczenia, podpisanego przez ambasadora Drummonda i ministra Ciano. Jak zazwyczaj w takich wypadkach nie brak pogłosek, że ogłoszone teksty nie wyczerpują treści porozumienia, które ma także punkty tajne. I ogłoszone teksty wystarczają jednak do stwierdzenia, że napięcie angielsko - włoskie, wynikłe ze sprawy podboju Abisynji, zostało na początku nowego roku zlikwidowane i ustępuje miejsca tradycyjnej przyjaźni. Fakt to niezmiernie doniosły. Znika jeden z punktów newralgicznych Europy. Usunięte zostało źródło poważnych konfliktów i możliwych zatargów. Niezmiernie doniosłe jest również wyrażne stwierdzenie nienaruszalności terytorjalnej Hiszpanji, w której tym sposobem akcja włoska rozchodzi się z akcją niemiecką. Gdyby nie fakt, że stosunki angielsko - francuskie są obecnie tak dobre i bliskie, jak za najlepszych czasów Entente Cordiale, mogłaby budzić zaniepokojenie dwustronna forma tego porozumienia, które nie obejmuje Francji. Wobec istnienia uroczyste proklamowanej osi Berlin — Rzym, utworzenie nowej osi Rzym — Londyn, mogłoby być interpretowane w sensie dla Francji niekorzystnym. Stosunki angielsko-francuskie są jednak gwarancją innej interpretacji. Należy raczej oczekiwać dalszego rozluźnienia się współpracy Rzymu z Berlinem, która zresztą nigdy nie była zbyt ścisła i szczerą, i stopniowego powrotu do porozumienia rzymskiego Laval — Mussolini. Nie sądzimy natomiast, aby porozumienie angielsko - włoskie było wstępem do odbudowania frontu

Stresy. Tendencje włoskie (jak zresztą i angielskie) zmierzają raczej do wciągnięcia i Niemiec do współpracy międzynarodowej. Raczej w sensie paktu czterech, choć obecnie zapewne bez jego drażniących form. Nie jest temu przeciwna i Francja. Wszystko zależy naturalnie od stanowiska Niemiec i ich warunków. W każdym jednak razie zanoszą się na to, że porozumienie angielsko - włoskie będzie wstępem do nowych prób podjęcia współpracy międzynarodowej. Oczywiście z udziałem Niemiec, a może i w szerszym zakresie.

HISZPAŃSKA PRÓBA SIŁ — I CIERPLIWOŚCI.

Akcja Niemiec w Hiszpanji coraz wyraźniej staje się próbą sił i wartości materiału wojen-

nego. Wobec wycofania się Włoch, stoją już dziś w Hiszpanji Niemcy same oko w oko z Sowietami. Przypomina się wojna bałkańska, która była też próbą sił przed wojną światową. Koszty płaci naród hiszpański. Ale akcja niemiecka jest nadto próbą cierpliwości mocarstw zachodnich. Wiadomo, że Francja wojny nie chce a Anglja nie jest do niej jeszcze gotowa. Niemcy z tego korzystają i wystawiają mocarstwa zachodnie na ciężką próbę. Oczywiście ani Anglja ani Francja nie mogą dopuścić do usadownienia się Niemiec na stałe w Hiszpanji lub w hiszpańskim Marokku czy na Balearach. Energia ich oporu będzie dla Niemiec cenną wskazówką. Kto wie, czy od tych „nieoficjalnych“ działań na terenie Hiszpanji nie zależy los pokoju w Europie.

się z uchwałami i propozycjami wojskowego koła generalnego, rzecz działa się jawnie, wiedzieli sąsiedzi, jak kto siedzi, czy i ile dostał. Był zatem moment — publicznej kontroli.

Sądźmy też, że miało swoją zaletę wyodrębnienie w budżecie tej pozycji. „Largicje — 100.000 zł.” Tyle i ani grosza więcej. Wiedzano, co to kosztuje. Wiedzano nawet w przybliżeniu — co się z tem dzieje. Zamiast napisać tajemniczo: „Różne wydatki osobowe”, pisa-no wyraźnie, że to na „hojność”.

Powie krytyk largicyj, że były przeciw i starostwa i wszelki „panis benemerentium”? Zgoda, były. Powie, że dostawało się to nietylko zasłużonym, ile wpływowym, a zachłannym? I to prawda. Powiada, że wszelkie takie nagrody z publicznego grosza i mienia na tem się kończą? I to prawda. Ale zauważyć trzeba, że ów panis benemerentium nadawany był jawnie, publicznie, na sejmie, pod kontrolą opinji publicznej. Gdy tymczasem dzisiejsze synekury, prezesyry, dyrektury (instytutu, funduszu, concernu, konsorcjum, monopolu etc)... nie są obsadzone w takim trybie. A z zasługą bywa pono różnie także i dzisiaj.

Słowem, przypomnieć należało, by przypominając przeszłe wieki, nie zdzierać z niemi zanadto, bo gotowe się upomnieć i terażniejszemu wiekowi dobrać się do skóry.

PAMIĘĆ ZAWIODŁA.

(n). Autor „Przypomnień” z ostatniej „Odnowy” wykazał osobliwszy brak pamięci. Wydawało mi się, że w ciągu ostatniego kilkulecia przebywania „na dnie kryzysu” dokonano „zapewne” wielkich redukcij uposażeń dygnitarskich i że oszczędności stąd powstałe przeznaczono „zapewne” na obronę państwa. Pamięć tu zawiodła. Myślał autor zapewne o r. 1925; gdy złoty zaczął się chwiać, Prezydent Rzplitej p. Stanisław Wojciechowski zredukował własną listę cywilną do połowy (do 10.000) i swoją kolumnę samochodową z 8 wozów do dwóch, za tem poszła pewna redukcja uposażeń, przyczem starano się, by funkcjonarjuszom najgorzej wynagradzanym udzielić pewnej pomocy. Fundusz dyspozycyjny ministra spraw wojskowych wynosił wtedy coś 10.000 miesię-

cznie, z czego tylko 1.000 wydawany był wprost przez ministra; reszta funduszu była administrowana przez Gabinet Ministra, a księgi i kwity sprawdzane przez właściwe organa kontrolne. Natomiast na uzbrojenia wydano bodaj w owym roku budżetowym więcej, niż kiedykolwiek przedtem od ukończenia wojny.

O podobnych, drakańskich posunięciach w ostatnim zeszłocięciu nie wiemy. Pamiętamy natomiast dokładnie dzieło znanej firmy braci Jędrzejewiczów, nową ustawę uposażeniową, ujmującą biedocie wśród funkcjonarjuszów państwowych, ale zato pomnażającą walnie uposażenia dygnitarskie. Z operacji tej żadna oszczędność dla skarbu Rzplitej nie wynikła i nie przybyła nam przez to ani jedna armata (bo i samochody zbyt kosztowne, symbolizujące drogi naszej „motoryzacji”, nie z pensyj były kupowane dygnitarskich).

Sadźmy, że p. min. Skarbu przypomni obu Izdom sejmującym historję, jaką przeżyły w ostatnim dziesięcioleciu uposażenia i wydatki osobowe (jawne i ukryte) we wszelkich resortach, zrobi z tego piękną krzywą i obok tej krzywej nakreśli drugą: wydatków rzeczowych na obronę Ojczyzny. Z obu zaś krzywych wysnuje konsekwencje bezwzględne w stosunku do wszystkiego, co jest przerostem uposażeń, nagród i wszelkich dochodów z funduszy publicznych w stosunku do funkcjonarjuszów wyższych, kimkolwiek są i gdziekolwiek pełnią służbę.

Od takiej niezbędnej „egzekucji” zacząć się musi naprawdę, aby naród uwierzył, że idzie ku naprawie.

NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT.

W znakomitym artykule p. t. „Państw totalnych trudy i troski” pisze w „Głosie Narodu” noworocznym prof. Stanisław Kutrzeba o kłopotach państw totalnych z kwestją nowego człowieka, któryby nie miał tęsknot niepotrzebnych, szkodliwych, któryby widział w państwie totalnem i jego urządzeniach ideał zbiorowego życia, gotów był poświęcić mu wszystko: wolność, życie, duszę”. Autor przypomina doskonałą radę powieściopisarza angielskiego Huxleya w książce: „Nowy wspaniały świat”. Huxley radzi wprowadzić nowy sposób produkcji ludzi — w retortach, ludzi, z których tylko niewielka część byłaby przeznaczona na elitę, mającą prawo myśleć i rządzić, gdy masa — na wzór społeczeństw termitów, mrówek (ob. „Mrówki” Jasnorskiej), pszczoł — od urodzenia (z retorty) miałyby już inne cele wskazane: pracę, słuchanie rozkazów. Świetny pomysł — tylko jeszcze trochę trudny do przeprowadzenia, dopóki nie uda się nauce zastąpić dotychczasowego sposobu rodzenia ludzi”.

W każdym razie dobrze, że go prof. Kutrzeba przypomniał. Niewątpliwie numerowani publicyści z „Zaczynu” nie o mieszkają go podjąć i uczynią przedmiotem studjów i planowań na użytek samego „Szlachetnego”.



W OBRONIE LARGICYJ.

(l) Jeden z ostatnich numerów „Odnowy” zawierał nieprzystojny atak na budżety Rzplitej z przed lat dwustu z okładem, z czasów saskich. Przedmiotem ataku stały się pensje „na buławy” (niby że za wielkie, że tyleż co funduszu nadzwyczajnego na artylerję), a także na „largicje”, to jest fundusz dyspozycyjny wojskowy (niby że jeszcze raz tyle). Złośliwy autor „Przypomnienia” o „largicjach” miał pretensje, że nie odebrano połowy conajmniej pensji hetmanom, nie zniesiono czy nie zredukowano funduszu „hojności” hetmańskich i przez to nie podwojono „funduszu obrony narodowej” — na armaty.

Przeciw tym złośliwościom musimy wziąć w obronę i pensje „ordynaryjne” na buławy i „largicje”. Bo w tych pensjach mieściło się wszystko: i pensje dzisiejsze wielko-dygnitarskie i dodatki funkcyjne i dodatki reprezentacyjne i przeważna część funduszy dyspozycyjnych. Trzebaż pamiętać, że taki hetman miał setki ludzi i koni na utrzymaniu i obowiązywały go obyczaje reprezentacyjne mocno orientalne. Nie miał Rolls-Royce'ów czy Packardów — ale za to ile musiał mieć grzecznych arabszyków w kosztownych rzędach, ile karoc, ile musiał mieć ze sobą zbrojnych i strojnych oficjalistów i gracjalistów, jaki stół prowadzić... Oczywiście, nie działało się znowu najgorzej hetmanomniebożętom. Przynajmniej jednak, że w tendencji ich do coraz kosztowniejszej reprezentacji i zgarniania coraz większych pensyj było coś arcyłudzkiego i występującego nietylko w tamtych czasach, w pomroce saskiej.

A teraz do właściwych largicyj. Ależ w tych marnych stu tysięcy (choćbyśmy zwaloryzowali to na milionik, suma nie tak ogromna) mieściły się nietylko gratyfikacje, renumeracje i inne podarki z funduszy publicznych. W tem był i marny fundusik na cele wywiadowcze, a nawet jakiś fundusik emerytalny. A co zaznaczyć trzeba, przy szafowaniu sumą na „largicje” liczono

ANDRZEJ PRZEŁĘCKI.

Drogi i bezdroża pana wojewody

Zapada mrok.

Czarna, specyficznie wołyńska, noc otula ziemię w jednej chwili. Jakby ktoś elektryczną lampę zgasił. Robi się odrazu ciemno. ponuro, tajemniczo.

Zupełnie jak ta ziemia, czarna i niespodzianek pełna jest noc wołyńska.

Szerokim gościńcem wybiegamy z miasta. Latarnie samochodu z trudem krają gęsty mrok, skąpo oświetlając jezdnię. Auto z bohaterским okrzykiem klaksonu zapada po osie w biały, kopny śnieg. Brnie, kaszle, krzyczy, dzwoni wszystkimi spoidłami obluźowanych i na wołyńskich drogach rozstrzęsionych części, chwilami idzie bokiem, jak narowisty koń, chwilami wypada na twarszy grunt po to, aby się znów po osie werznąć w miękki, biały całun.

— Jakież tu okropne u was drogi — zaczynam pogawędkę z kierowcą.

Patrzy na mnie zdumiony.

— Okropne? — powiada. — Toż to najlepsza nasza szosa, e k s p e r y m e n t a l n a. Ma pan tu wszystkie rodzaje jezdni, nawet 10 kilometrów betonu po drodze. Tylko że śnieg przykrył.

— Aha — powiadam i usiłuję zrobić „dobrą minę do złej gry” bo droga mimo wszystko jest okropna. I kiedy tak myślę o tej „eksperymentalnej” szosie, na której człowiek ma dosłownie „dużę na ramieniu”, jak reflektorem w oczy, uderza mnie przedziwna analogja. Eksperyment....

I tutaj przecież także doskonałą drogę polskiej racji stanu przykrył śnieg ośmioletniego eksperymentu...

Ano... Przyjrzyjmy mu się zbliska.

DWA KORDONY.

Kiedy osiem lat temu pan wojewoda Józewski porzucił fotel ministra spraw wewnętrznych, aby objąć stanowisko wojewody wołyńskiego, wytyczna, jaką otrzymał od ówczesnego rządu, zawierała się w krótkim, niemal żołnierskim rozkazie:

— Ułożyć na terenie Wołynia zgodne współzycie polsko ukraińskie, w myśl wskazań i założeń demokratycznych.

Pan wojewoda dyrektywę przyjął i dla jej wykonania zażądał stworzenia warunków, że tak się wyrażę, laboratoryjnych, a mianowicie, wyjęcia Wołynia z pod dyskusji pozostałej Polski oraz wyeliminowania Wołynia z pod wpływów ukraińsko-galicyjskich.

Stworzono tedy dwa kordony: Lubelski, oddzielający Wołyń od pozostałych części Rzeczypospolitej i Sokalski, — od wpływów galicyjskich.

Pan wojewoda rozpoczął wówczas realizowanie eksperymentu w warunkach wymarzonych. Oba kordony zaczęły funkcjonować i istotnie, przez pierwszy okres ukraińców, galicyjskich nie dopuszczono na teren Wołynia zupełnie, pilnując skrupulatnie, aby nic z terenu Wołynia nie dostawało się na łamy prasy

ogólnopolskiej. Każda bardziej alarmująca wieść bywała tłumiona w zarodku, informacje dziennikarskie przesiewano nader starannie.

W tym okresie czasu bodajże najważniejszym momentem narodowościowym na tym terenie była znaczna różnica dialektów i różnica wyznań pomiędzy ukraińcami galicyjskimi, a ukraińcami wołyńskimi. Rzecz prosta, różnice te winny były stać się przedmiotem specjalnej pieczołowitości zarówno pana wojewody, jak i wszystkich czynników państwowych. Był to jedyny i najważniejszy bodaj moment do wygrania dla Polski w walce o wpływy przeciwko „czerwonej” Ukrainie.

W słusznym mniemaniu, iż w ten sposób doskonale zasłużył się Państwu, Polska Macierz Szkolna wydała specjalnie dla Wołynia elementarz ukraiński w dialekcie wołyńskim. Elementarz przez dłuższy czas używany był we wszystkich szkołach powszechnych na tym terenie.

Aliści niezbadane są drogi polityki pana wojewody, bo pewnego dnia padł z Łucka na cały Wołyń rozkaz, podpisany przez miejscowe kuratorjum szkolne, podległe panu wojewodzie, zabraniający używania elementarza Macierzy i zalecający wprowadzenie na teren Wołynia elementarza galicyjsko-ukraińskiego. Równocześnie sprowadzono na teren Wołynia bardzo pokazną liczbę nauczycieli szkół powszechnych u k r a i ń c ó w z G a l i c j i w s c h o d n i e j.

Od niedawna działa na terenie Wołynia kościół protestancko - unicki, tak zwana „ukraińska kircha”, będąca nie-dobitkiem warszawskiego Kościoła Narodowego, znanego na terenie stolicy z wielu skandalicznych afer rozwodowych. „Kircha” służy bardzo wydatnie do zatarcia różnicy wyznań (wołyniacy są prawosławni, galicyjscy zaś ukraińcy — grecko katolikami), no i... negocjacji politycznych galicyjsko-wołyńskich.

Wszystko to dzieje się nietylko pod bokiem, ale i w znacznej mierze pod auspicjami pana wojewody, który w ten sposób nietylko, że nie utrzymał ustanowionego przez samego siebie kordonu Sokalskiego, ale go wręcz zerwał. Ot tak, jakby przeciał wstęgę na Targach Rówieńskich.

Natomiast kordon Lubelski utrzymano w całej pełni. Dopiero w ostatnich niemal tygodniach zaczyna się na łamach prasy stołecznej dyskutować na tematy wołyńskie i co jest niezmiernie charakterystyczne, to to, że dyskusję tę podjął p. Antoni Wiczorkiewicz na łamach prorządowego, aczkolwiek radykalnego, Kurjera Porannego. W artykułach tych, doskonały zresztą znawca spraw wołyńskich, nie szczędzi zupełnie pana wojewody, stwierdzając wręcz, że e k s p e r y m e n t s i ę n i e u d a ł.

SZKOLNICTWO.

Kiedy w okresie organizacyjnym szkolnictwa na Wołyniu, Inspektor szkolny jeździł po wsiach celem zorjentowania się co do życzeń ludności w stosunku do szkoły, niejednokrotnie miała miejsce rozmówka następująca, której treść niemal dosłowną opowiadał mi częsty towarzysz podróży pana Inspektora, ówczesny dziekan, a obecny kanonik we Włodzimierzu X. Halicki:

— Jaką chcecie mieć szkołę — zapytywał Inspektor.

— Jak były rządy carskie, to była szkoła rosyjska. Teraz są rządy polskie — niech będzie polska — brzmiała odpowiedź.

A kiedy inspektor wmawiał „ciemnym” kmiotkom, że powinni zażądać szkoły ukraińskiej, albo conajmniej utrakwistycznej, spotykał się bardzo często z opinią następującą:

— Na szczo nam po muzycki w szkoli bałakaty?

I to była istotna i rozsądna odpowiedź. „Po muzycki” nauczyli go mówić w własnej chacie. W szkole chciał się nauczyć mówić „po pańsku”, to jest po polsku, aby się przecież mógł rozmówić z „panami”.

Mimo to „na siłę” zakładano tam szkoły ukraińskie, lub conajmniej szkoły utrakwistyczne.

Równocześnie wprowadzono w gimnazjach język ukraiński, jako obowiązkowy i dziś już bardzo częstym jest fakt, że dziecko urzędnika, przeniesionego na Wołyń, mimo doskonałych postępów w innych przedmiotach, pozostaje na drugi rok w klasie z powodu zbyt słabych postępów w języku ukraińskim, języku, którego uczy się pierwszy rok lub rok niespełna, no, i którego uczyć się nie chce.

Skutki takiego stanu rzeczy nie każą na siebie długo czekać i przybierają niejednokrotnie formy wręcz zastraszające. Oto w całych, dużych połaciach Wołynia, dzieci osadników polskich odzwyczaiły się mówić p o p o l s k u.

Jeżeli się doda do tego, że główną osobą wołyńskiego Kuratorjum szkolnego i mężem zaufania pana wojewody w tej dziedzinie jest p. Nowicki, osławiony „usuwacz” krzyż z klas szkół krakowskich, zlikwidowany w swoim czasie za swą działalność przez Marszałka Piłsudskiego, obraz będzie zupełny, dokładny, ponury.

LUDZIE URZĘDOWI.

A wogóle ci ludzie urzędowi na Wołyniu!...

Zdawałoby się, że teren tak niesłychanie trudny, tak, powiedzmy, bardzo ważki dla całości Rzeczypospolitej i jednocześnie politycznie bardzo „delikatny”, powinien mieć personel urzędniczy, szczególnie na kierowniczych stanowiskach administracyjnych, dobierany bardzo starannie.

A tymczasem wbrew wszelkiej logice, wbrew najkardynalniejszemu potrzebom prestiżowym, potraktowano Wołyń jako urzędniczą Syberję. Poprostu zsyłano tam urzędników za takie, czy inne przekroczenia natury służbowej.

Skutki są nazbyt widoczne. Po ośmiu latach eksperymentu, większość starostów musiano zlikwidować, wytaczając im sprawy dyscyplinarne, niemal że procesy karne. Że wspomnę tu tylko pana starostę Kańskiego, doniedawna starostę rówieńskiego, którego „dochody”, jak mówią, przekraczały sumę 5 tysięcy złotych miesięcznie, pana starostę Sarneńskiego — Grzesika, którego zlikwidowano za nakazany wójtom bojkot wojska (sic!) i pana starostę z Dubna, który usiłował kryć swoim autorytetem nadużycia pieniężne wójtów. Dziś już pana starostę zmieniono, a wójtów „lege artis” powsadzano do kryminału.

Serja procesów na ten temat nie jest jeszcze zakończona i w bardzo niedługim czasie odżyje na nowo w opinii publicznej.

DZIWIY DISCYPLINARNE.

Historja dubieńskiego wójtów, jak powiadam, nie jest jeszcze zakończona, ale ma jeszcze jedną sensacyjną i bolesną stronę, którą poruszyć uważam za swój prosty obowiązek. Nie będę tu zresztą wymieniał nazwisk, nie są one ważne. Istotę sprawy stanowi niesłychanie przykry fakt.

Nadużycia wójtów na terenie powiatu dubieńskiego wykrył miejscowy komendant policji i natychmiast zaraportował o tem panu staroście. Starosta przyjął informację do wiadomości i przez dłuższy czas dochodzenia nie wszczynął.

Ponieważ komendant policji — człowiek uczciwy — nie chciał i nie mógł kryć dalej złodziejów, udał się do prokuratora, aby wy badać, czy przedstawiciel sprawiedliwości ma już w dyspozycji jego raport, czy też dalej spoczywa on pod sukniem.

Skutek mógł być tylko jeden. Prokurator wymógł na komendancie dostarczenie rzeczowego materiału władzom prokuratorskim.

A co się stało z komendantem policji?

Wytoczono mu dyscyplinarkę o nielojalność w stosunku do władz administracyjnych.

A kto władzom wołyńskim wytoczy dyscyplinarkę o nielojalność w stosunku do Państwa?

RIDNA HATA I PROSWITA.

Prawie od samego początku swojej działalności na Wołyniu, pan wojewoda Józewski zaczął organizować kluby ukraińskie, w miastach noszące nazwę „Ridnej Haty”, na wsiach występujące pod firmą „Proswity”.

Jest rzeczą charakterystyczną to, że przez cały czas trwania „eksperymentu”, każdy działacz polityczny z obozu rządowego, czy też minister przybywający w odwiedziny na teren Wołynia bywa przez pana wojewodę przyjmowany wyłącznie na terenie Ridnej Haty i dosłownie poza jej teren nie jest wypuszczany. Organizowane to jest nader zręcznie, tak, że działacz nie może się w tej grze spozbrzedz.

Sama przez się nasuwa się refleksja: Czyżby na Wołyniu istnieli tylko ukraińcy? Czyżby nie było tam już zupełnie Polaków i polskich instytucji społecznych? Widocznie takie właśnie przeświadczenie chce wpoić pan wojewoda Józewski władzom centralnym.

Miejmy nadzieję, że mu się to nie uda!

Czem jest jednak Ridna Hata i jej siostrzyca Proswita?

Ridną Hatę wraz z panem wojewodą zakładała grupa posłów ukraińskich, grupa posła Pewnego. Widocznie Pewny okazał się bardzo niepewny, bo go zlikwidowano. Obecnie głową Ridnej Haty jest poseł Skrypnik, który... na pewnym przyjęciu prywatnym w Łucku miał się pono odezwać:

— Ano cóż? Polacy nas kokietują, to i my kokietujemy Polaków.

Jednym z najbliższych towarzyszy posła Skrypnika jest także poseł Bura, którego w jednym z powiatów przyłapano na agitacji przeciw państwu.

Jak na posła z listy rządowej, to... dosyć śmiało!

A chaty Proswity?

Pan wojewoda, zamiast w pasie nadgranicznym zakładać wzorowe osady, powierzając je oczywiście najbardziej pełnowartościowemu elementowi osadników wojskowych, uważał za stosowne pozakładać chaty Proswity. Działalność ich jednak była tak niedwuznaczna, że władze wojskowe zażądały natychmiastowej ich likwidacji.

I w tym wypadku pan wojewoda rozminął się z logiką racji stanu. Zamiast, wprost dla przykładu, zlikwidować szkodliwe instytucje, doprowadził do tego, że zlikwidowały się same. Żeby wyekspirowały honorowo.

Po drogach i bezdrożach pana wojewody wołyńskiego chodzi Polska Racja Stanu, wydziedziczona, odsunięta na drugi, albo trzeci plan i załamuje ręce.

I któż Jej rękę poda?

Prosimy o zawiadomienie, kto z Prenumeratorów nie otrzymał numeru noworocznego ODNOWY.

Sprostowanie. Przy artykule „Wskazania zaborowskie” podane zostało błędnie imię autora. Zamiast „L. Koniński”, powinno być — Karol Ludwik Koniński.

W tymże artykule należy skreślić cudzysłów po pierwszym zdaniu.

W art. gen. M. Kukiela „Polski maż stanu” na str. 12 w. 29 zamiast „odbudowy Europy w XV w.” winno być: „w XVIII w.”.

Z 7 dni

Poeta Wierzyński otrzymał nagrodę państwową literacką za rok 1936. Tytułów do przyznania nagrody jest kilka: niewątpliwy talent, przejawiony w licznych wierszach, złoty medal olimpijski za poemat, długotrwałe współpracownictwo w *Gazecie Polskiej*, uchylenie się od protestu literatów w sprawie Brześcia. Innymi słowy, mamy teraz ustaloną kandydaturę do P. A. L., której prezes bronili Berezzi. Może już niedługo panowie Sieroszewski i Wierzyński powiedzą sobie: „les beaux esprits se rencontrent.”

*

W Krynicy odbył się mecz hokejowy pomiędzy katowickim Dębem a Związkiem Strzeleców Jaworzyna. Naprzód, Dąb uderzył „pięścią w twarz” Strzelca. Potem przeprosił. Następnie, Strzelec walnął Dęba „z całej siły w twarz, rozcinając mu wargę i wybijając kilka zębów.” Dalej, publiczność wdarała się na teren popisów. Wreszcie nadbiegła policja i zakończyła zabawę sportową.

*

Niedawno ukazały się w prasie cyfry porównawcze, dotyczące cen artykułów pierwszej potrzeby w Sowietach i w Polsce. Ceny te są o 500 — 1000% wyższe, niż u nas. Zarobek robotnika jest przeciętnie niższy o 20 — 30%. Podajemy kilka przykładów, przytaczając w nawiasach przeciętną cenę polską: (za 1 kg. w zł.):

Chleb pszenny zł. 6.— (0,60); kartofle 1.— (0,09); kiełbasa 16.— (2,20); sól 0,42 (0,24); słonina 14.— (1,60); masło 15.— (3.—). Obuwie gotowe kosztuje 120.— do 180.— zł., w Polsce 12.— do 20.— zł.

Świat pracy

POMOC DLA BEZROBOTNYCH.

Tyle się pisze o pomocy zimowej dla bezrobotnych, że wypadałoby czasami tym biednym ludziom zazdrościć. Tymczasem z różnych stron kraju nadchodzą wiadomości na niedomagania w organizacji tej pomocy. W Katowicach wydano ziemniaki, prawie niejadalne, były bowiem zmarznięte. Niektórzy bezrobotni wprost podziękowali za dobrodziejstwo. Również opał ofiarowany dla bezrobotnych stanowił w wielu wypadkach miał z piaskiem.

AKCJA BANKOWCÓW I HANDLOWCÓW.

Za przykładem robotników, którzy w pewnych działach przemysłu wywalczyli sobie prawo zawierania umów zbiorowych, akcją w tym kierunku podjęły także organizacje pracowników umysłowych. We wszystkich bankach warszawskich w okresie przedświątecznym przeprowadzony był dwugodzinny strajk demonstracyjny, dla poparcia wysuniętych żądań. Tak samo z inicjatywą walki o umowy zbiorowe wystąpiły niektóre zrzeszenia handlowców.

Dziękujemy wszystkim, którzy nadali do redakcji „Odnowy” życzenia świąteczne i noworoczne. Nie wątpimy przytem, że wiele z tych życzeń zrealizuje się w 1937 r. dla dobra Polski i Jej obywateli pokrzywdzonych.

KS. DR. JAN PIWOWARCZYK.

Korporacjonizm*

II.

Jako ruch nowoczesny korporacjonizm nie jest zjawiskiem ostatnich lat, lub — jak wielu sądzi — produktem faszyzmu. Można się spierać, czy i o ile cechy ustrój miast, względnie nawet „stanowy” ustrój średniowiecza był korporacyjnym. W każdym razie korporacjonizm jako prąd kulturalno - teoretyczny istniał już w połowie w. 19.

Pierwszą koncepcją społeczeństwa zorganizowanego zawodami, a nie klasami, znajdujemy w pismach głośnego biskupa społecznego, Kettelera (+ 1877). A) pierwszy zarys ustroju korporacyjnego — w uchwałach Międzynarodowej Unji dla Studjów Społecznych, która pod przewodnictwem kard. Kermilloid zbierała się we Fryburgu Szwajcarskim w okresie 1884 — 1891, a która w wybitnej mierze posunęła naprzód zainteresowanie katolików sprawami społecznymi i wpłynęła na wydanie encykliki „*Rerum Novarum*” przez Leona XII. W jej pracach brali udział tak znakomici socjologowie i ekonomiści, jak A. de Mun, La Tour du Pin i Descurtins. Pod koniec w. 19 cały t. zw. katolicyzm społeczny ogarnięty był ideologią korporacyjną. Powstała bogata literatura, obradowały zjazdy, partje polityczne stawiały ustrój korporacyjny jako cel swoich dążeń ustrojowych (we Francji głośna dyskusja nad przekształceniem Senatu na Izbę Korporacyjną). Pierwsze lata po wojnie nie sprzyjały rozwojowi idei korporacyjnych. Był to okres nawracania pod pewnym względem do starych idei liberalnych. W jednej tylko — zdaje się — Holandji nie przestano myśleć o korporacjonizmie (nie udana próba prof. Veraraat zastosowania korporacjonizmu drogą porozumienia katolickich zrzeszeń gospodarczych).

Były także i poza katolickimi obozami jednostki i całe koła, które się przyczyniły do rozwoju ideologii korporacyjnej. I to nieraz stojące na wprost przeciwnych biegunach... n. p. we Francji przez pewien czas hołdował korporacjonizmowi Paul Boncour, socjalista, i — l'Action Française... Z innych korporacjonistów wymienić należy Sismondiego.

Wejście Mussoliniego na drogę korporacjonizmu w r. 1926 i równocześnie pogłębiający się coraz bardziej kryzys liberalno - demokratycznych ustrojów wysunęły korporacjonizm na czoło nowych koncepcyj ustrojowych.

Momentem bardzo ważnym było pojawienie się encykliki Piusa XI „*Quadragesimo anno*”, w której Papież — zastrzegając się, że nie ma ani prawa, ani chęci wskazywania technicznych szczegółów prawdziwego ustroju społecznego — zaleca ustrój korporacyjny, jako najlepszy sposób na przewyciężenie walki klas społecznych. W następnych latach mamy do zanotowania wypadki wejścia

naszych państw na drogę ku ustrojowi korporacyjnemu (Austria i Portugalia), lub na drogę jednoczenia społeczeństw przy pomocy instytucyj prawnych, których wprowadzenie nie można nazwać korporacjami, które jednak z ducha korporacjonizmu wyniknęły i w nauce noszą miano „prekorporacyjnych” instytucyj (izby zawodowe, umowy zbiorowe, komisje stałe dla porozumienia pracodawców z przedsiębiorcami, instytucje polubowne i t. p.).

Można bez przesady powiedzieć, że świat powoli, może nawet nieświadomie, zaczyna iść drogą ku ustrojowi korporacyjnym, a to w miarę, im lepiej sobie uświadamia niebezpieczeństwo walk i egoizmów klasowych.

Równocześnie z tem zjawiskiem stwierdzamy drugie... Panuje różnica zdań co do szczegółów ustroju korporacyjnego. Nawet wśród korporacjonistów i nawet wśród państw, które swój ustrój społeczny na korporacjach opierają.

Szwajcarski ekonomista, Böhrer, w swej książce: „*Korporative Wirtschaft*” — rozróżnia w korporacjonizmie dwa zasadnicze kierunki: autorytatywny i demokratyczny (społeczny). W pierwszym korporacje są narzędziem władzy, autorytetu, mianowicie politycznego; w drugim stanowią samorząd społeczeństwa. Pierwszy jest realizowany we Włoszech. Ku drugiemu zmierza Austria, o czem świadczą oficjalne oświadczenia władz tego kraju. Ale na tem nie koniec. W każdym z tych dwóch kierunków można znaleźć nowe i ważne różnice w rozwiązaniach. Mimo to wszystkie te kierunki i odcienie łączy coś wspólnego. Co?

Wspólnota ta sprowadza się do trzech zasad. Są one następujące:

a) społeczeństwo jest organizmem moralnym (pojęcie jedności i wielości), b) charakter ten zabezpiecza mu najlepiej organizacja społeczeństwa na podstawie zawodów (rolnictwo, przemysł metalurgiczny, kupiectwo), a nie klas (pracodawcy, przedsiębiorcy), — c) osiągnięte jednak w ten sposób zjednoczenie nie może przeoczyć istnienia uzasadnionych różnic i interesów klasowych, dlatego korporacja danego zawodu (więc porozumienie pracodawców i pracobiorców z danego zawodu) musi się opierać o odrębne syndykaty, tworzone na podstawie klasowej przynależności (osobne syndykaty pracodawców, a osobne syndykaty pracobiorców z danego zawodu).

I właściwie na tych trzech zasadach wspólnota różnych kierunków korporacjonistycznych kończy się. Występują natomiast rozbieżności zdań co do prawnych kompetencyj korporacyj, ich struktury i stosunku do syndykatów, a przede wszystkim ich stosunku do państwa i społeczeństwa.

Założenia katolickiego korporacjonizmu określa enc. „*Quadragesimo anno*”.

Streszczają się zaś w położeniu nacisku na kompetencjach korporacyj w zakresie kierowania życiem społecznym i gospodarczym pod kontrolą władz państwa, a w krytyce korporacyjnego systemu we Włoszech faszystowskich, który z korporacyj uczynił polityczne narzędzie rządu, pozbawiając je w gruncie rzeczy właściwego im charakteru. W ten sposób Papież odciał katolicki korporacjonizm od autorytatywnego — jak go nazywa Böhrer — zgodnie z wymaganiami życia i zasadami, na których się katolicki korporacjonizm w przeszłości swojej opierał.

Jakież w tych warunkach są zadania i kompetencje korporacyj, jako instytucyj społeczno - gospodarczego samorządu narodu? Odnoszą się one do dwóch dziedzin: społecznej i gospodarczej. W pewnych państwach (głównie Austrii) korporacjonizm ma objąć także dziedzinę życia kulturalnego.

Przeznaczeniem korporacyj w życiu społecznym jest zabezpieczać pokój społeczny ponad różnicami klasowymi. W szczególności zaś stoją przed nimi takie zadania, jak: zabezpieczanie życia społecznego przed konfliktami w świecie pracy, względnie załatwianie ich, gdy wybuchną — przejęcie i prowadzenie instytucyj ubezpieczeń społecznych, — sprawa przygotowania młodzieży do pracy zawodowej, — troska o poziom kultury ogólnej, duchowej i technicznej w zawodach, — zabezpieczanie korporacyjnej moralności w poszczególnych zawodach przez ciągłą pracę oświatowo - wychowawczą i t. p.

Cel zaś, który korporacje mają w życiu gospodarczym do osiągnięcia, polega na takim jego pokierowaniu, by się rozwijało w duchu sprawiedliwości społecznej, czyli, by swe dobrodziejstwa i korzyści rozdzielało sprawiedliwie między wszystkie warstwy społeczne, bez przywilejów i bez krzywd. Cel ten obowiązuje je w praktyce do takich zadań, jak: „dostosowanie produkcji do pojemności zysku” (Bacconnier), — wyzwolenie życia gospodarczego z niewoli „dyktatury gospodarczej” („*Quadragesimo anno*”), którą mu narzucił statyczny okres kapitalizmu w postaci karteli i trustów, — stworzenie naprawdę produkcyjnego kredytu w miejsce dzisiejszego spekulacyjnego kredytu banków prywatnych (Amadeo Silva - Tarouca), i t. p. Szwajcarskie „zjednoczenie chrześcijaństwa — narodowych związków zawodowych” (niemieckie) nakłada na nie nawet obowiązek regulowania cen produktów (na wzór cechów średniowiecza), a francuski ekonomista, Belliot, obowiązek przeprowadzenia „uwłaszczenia mas” przez odpowiednie reformy w strukturze własności produkcyjnej.

Powyższe wywody na temat korporacjonizmu kończą paroma marginesowymi uwagami:

1) Wynika z nich, że korporacjonizm nie jest skonkretyzowanym w szczegółach systemem, jak n. p. socjalizm. Jest zaledwie kilka zasad wspólnych wszystkim kierunkom korporacjonistycznym; a pozatem panuje swoboda. Jest to

*) Początek patrz w Nr. 2 (1) Odnowy.

w tem pewna niewygodność i zmusza ludzi do badania i do myślenia, gdy najwygodniej byłoby dostać do ręki gotowy program.

2) Słyszysz się czasem zdanie, że korporacjonizm, to nic innego, jak zamaskowany etatyzm, lub — dla odmiany — kolektywizm. Wypowiadający pierwsze zdanie powołują się na włoski faszyzm, — drudzy wskazują na daleko idące uprawnienia korporacji. Pierwsi jednak zapominają, że czem innym jest faszyzm, a czem innym korporacjonizm. Faszyzm nie stworzył korporacjonizmu, tylko go znalazł gotowym i nadużył go. Jest więc tylko jedną z wielu prób realizacji tego ustroju, a jego błędy nie mogą obciążać hipoteki korporacjonizmu. — Drudzy nie powinni zapominać, że jedyny kraj, który popadł w kolektywizm, rządził się nie korporacjonizmem, ale liberalizmem gospodarczym.

3) Co chwila słyszymy, lub czytamy apele do „zjednoczenia” narodu. Są to frazesy puste i bez znaczenia, jeśli to zjednoczenie nie ma się wyrazić odpowiednimi instytucjami prawnymi, któreby były nosicielami idei jedności. Ci, którzy je głoszą, ocierają się o korporacjonizm, nie zdając sobie z tego nawet sprawy.

4) Korporacjonizm może przyjść w drodze nakazu z góry i wtedy może nie wytrzymać próby życia. A może przyjść

na podstawie wielkiego odruchu społecznego i wtedy będzie ugruntowany mocno, bo w moralności społeczeństwa. W tym celu jednak trzeba duszę społeczeństwa przeorać głęboko pod siebę nowych, antyliberalnych, ale i antysocjalistycznych poglądów na człowieka, na społeczeństwo, na państwo, na życie społeczne — gospodarcze. I na tem polega trwała wartość enc. „Quadragesimo anno”, że te nowe poglądy rozwija.

5) Don Sturzo patrząc na pierwsze fazy walki faszyzmu zrobił ironiczną uwagę: „dawniej ludzie walczyli o prawo do wolności, dziś o prawo do niewoli”. Jest to przesada. Faszyzm w początkowym stadium swego rozwoju, hitleryzm, kolektywizm, dyktatury, o które ludzie walczą, są domem niewoli dla społeczeństwa. Ale nie o niego walczyli i walczą. Walczą o szczęśliwe skojarzenie w prawnym ustroju dwóch zasad: wolności i autorytetu. I robią próby... Rozwiązaniem tego królewskiego problemu XX wieku jednak nie będzie nawrót do liberalizmu, bo liberalizm jest anarchją; ani żadna z dyktatorskich, czy fatalnych form ustrojowych, bo są niewolą. Rozwiązaniem będzie taki ustrój, który zagwarantuje jedność (autorytet) państwu, a wielość (wolność) społeczeństwu. Takim ustrojem wydaje się być korporacjonizm, oczywiście demokratyczny lub społeczny — jak go nazywa Böhrer.

śli i życia publicznego. Byłoby wszelakoż naiwnością spodziewać się sprawiedliwości doskonałej i sprawiedliwości z dziś na jutro. Z wielu powodów biednych zawsze między sobą mieć będziemy i dlatego miłosierdzie będzie potrzebne z a w s z e. Ale d z i s j e s t ono jeszcze więcej potrzebne, niż zawsze.

Jeżeli są ludzie, którzy odbierają sobie życie, bo między ludźmi są tak samotnymi jak na pustyni między piaskiem albo śniegiem — to widocznie nie tylko ustrój społeczny nie jest sprawiedliwy, lecz i miłosierdzia jest za mało. Zresztą nie wszyscy gotowi są korzystać z miłosierdzia jawnego. Trzebaby, aby w każdym mieście, miasteczku i wsi, był jakiś z a k o n t r o p i c i e l i, jakiś spisek ludzi, co by za najtajniejszą rozpacz węszyli, jak psy. Żeby, nie tylko w noc wigilijną, ale w każdą noc — w czarną noc duszy — zjawił się przy zrozpaczonej człowieku ktoś, co go wytropi i chce mu pomóc.

Nie ma co gadać: W wychowaniu nasze nauki miłosierdzia i sprawiedliwości (co zresztą wychodzi nieomal na to samo, bo sprawiedliwość jest miłosierdziem społecznym, a miłosierdzie sprawiedliwością w prywatnym zarządzie), nauki tej jest stanowczo za mało. A jeśli jest, to więcej w domu (gdzieniegdzie), niż w szkole. Nie, żeby dziecko tam o miłosierdziu nie słyszało! Ale nie systematycznie, nie uporczywie i nie w związku n a j i s t o t n i e j s z y m z nauką religji. Iluż chłopców i dziewcząt, co zdają egzamin dojrzałości, dojrzałych jest do tego, by dźwigać na sobie takie zdania jak: „Nie ten, kto mi woła Panie, Panie, ale ten kto jednego z moich braci najmniejszych tak kocha jak ja was” — i tym podobne? Jest zaś zdań takich o wiele więcej, niż porządny katolik wyobraża sobie. Iluż uczniów z n a w o g ó l e takie zdania? Iluż ludzi ze świadectwem dojrzałości i z notami kiedyś celującymi z religji, zdało sobie sprawę, że b e z n i c h B o g u j e s t t r u d n i e j?... Są niektóre przeszywające myśli, od których wiele zależy, żeby było lepiej.

Katecheci skarżą się, że 2 godziny religji na tydzień, to za mało. Czy w s z y s c y katecheci swój przedmiot traktują z tą powagą, na którą, dalibóg że zasługuje, czy te dwie godziny zawsze są należycie zużywane? Czy często nie bywają one godzinami raczej rekreacji niż nauki?... Lub raczej tresury w p o s t u s z e n i e s t w i e, niż tresury w ludzkim, tropiącym za niedolą, s u m i e n i u?... Gdyby się miało tę nadzieję, że nauka religji w szkole więcej, i znacznie więcej niż dotąd, stanie się w t a j e m n i c z a n i e m dzieci w c h r z e ś c i j a n s k ą s u m i e n o ś ć, s u m i e n n o ś ć p s i ą, która na strząsy Miłości wypłasza zaszytą w gąszczach nocy rozpacz samotną — ha, toby warto było nie 2 godziny tygodniowo oddać na naukę religji, ale 4, 6, 8, 10...

Cyrano.



O NOCY WIGILIJNEJ I O EWENTUALNYCH ZMIANACH W ROZKŁADZIE GODZIN SZKOLNYCH.

Wszystkie dzienniki, które wyszły w dniu 24. b. m. brzmiały hymnem kolegowym na cześć dobrej woli i pokoju wszystkim ludziom i radości wszystkim stworzeniom. Pisaliśmy to, my biedni rycerze pióra, całkiem szczerze; była to taka nasza biedna żonglerska modlitwa...

Dzienniki, które wyszły 27 b. m., zawierają między innymi taką wiadomość:

Przy ul. Wolskiej Nr. 118 powiesił się w ogólnej ubikacji na sznurku lokator tego domu, 28-letni Czesław Furatowski, bezrobotny. Przyczyną samobójstwa była rozpacz z tego powodu, że Furatowski nie mógł niczem zaopatrzyć na święta żony i rodzeństwa.

Wszystkie słowa zatrzymują się przed tem nieszczęściem.

O tej samej godzinie, kiedy przeczytał tę notatkę małym drukiem, odwiedził mnie mój znajomy, który przepędził noc wigilijną w klubie brydżystów. Przy jednym ze stolików wygrał i przegrane szły na 2000 złotych.

W stosunku do „europejsko“-megaburżuazyjnych zabaw, ta zabawa nie była ostatecznie taka droga. Ale w stosunku już do tych kilku złotych, któreby były może ratunkiem znużonemu śmiertelnie nędzą i głodem i niezapłaconymi długami i błaganiami o kredyt i tą niezgodą w rodzinie, która jest nieuniknioną konsekwencją nędzy — w stosunku do tych kilku złotych owe 2000 — jest wielkością wprost kosmiczną. Bo już tych kilka złotych, których brakło — wzięły tyle, co cały świat.

Jeżeli jest sensownym zwrot o rzeczach wołających o pomstę do nieba, to w każdym razie ma on swój sens wobec tak potwornego kontrastu w stosunkach ludzkich. Czy ci wigilijni szulerzy są w i n n i tej śmierci? Nie, bo cóż wiedzieli o tym tam biednym człowieku?... Tak, bo jesteśmy wszyscy winni, że jesteśmy tak opieszali i tak oszczędni, opieszali w wymiarze sprawiedliwości rozdzielczej a oszczędni w miłosierdziu. Z a k a ż d e g o s a m o b ó j c ę w s z y s c y j e s t e ś m y o d p o w i e d z i a l n i, żeśmy go nie pocieszyli. Nie kto inny tak mówi, tylko pański, królewski i barokowy biskup tak mówi i grzmi — Bossuet.

Jakiemi sposobami ustrojowo-gospodarczymi zapobiegać nędzy, to nie jest rzeczą moralisty, ani nikogo, kto nie jest specem od ustroju społecznego. Do nas należy wytworzyć takie ciśnienie moralne na ekonomistów — myślicieli i na polityków-działaczy, aby sprawiedliwość stała się głównym i najpilniejszym tematem my-

Przegląd Prasy Krajowej

DYSPUTY.

(R) *Merkurjusz Po'lski* ogłosił, a *Słowo* wileńskie przedrukowało (dlatego dostrzeżliśmy) przegląd polityczny z 1936 r., który jest po prostu pamfletem nędznym. Oczywiście, wśród steku wymysłów dostało się i *Odnowie*, nie mówiąc o bzdurach, dotyczących „frontu Morges”. Wywiadowca tego pisma sarka przy okazji, że *Odnowa* jest strasznie nudna, że „nawet zecerzy składają ją w nieustannych mdłościach”.

No, pewnie, że dla *Merkurjusza* nudna. U nas przecież pisują profesorowie uniwersytetów, przeto biedny wywiadowca ciągle musi zaglądać do encyklopedji i ustalać, co oznaczają takie wyrazy, jak: kontrybucja, okupacja, malwersacja, denuncjacja, oprymowanie, serwilizm, konfiskata, elitaryzm i t.p. Natomiast stanowczo protestujemy, aby zecerów polskich sprowadzać na poziom współpracownika *Merkurjusza*.

Zresztą, w pewnych wypadkach pragnęlibyśmy, żeby *Odnowa* była tak nudna, że aż usypiająca. Mianowicie, gdy idzie do cenzury. Gdyby tak *Merkurjusz* wywarł wpływ odpowiedni...

*

Prasa sanacyjna zaczyna dostrzegać *Odnowę*. Tym razem *Dziennik Poznański* dwukrotnie zaopiekował się naszymi poglądami. Więc, naprzód, duży artykuł p. t. „Pożyczka francuska nie jest... Canossą” w odpowiedzi na małą notatkę *Odnowy* z kroniki zagranicznej. Następnie, gorzkie uwagi z powodu wyrażonych przez nas życzeń świątecznych do przyjaciół, którzy „niestety” przebywają zagranicą. Przytem w imię bezstronności stwierdzamy, że forma wyrażenia jest przyzwolona.

Odpowiadamy bardzo krótko. Canossy sanacyjnej — *niestety* — jeszcze nie możemy uzasadnić publicznie dla powodów od redukcji *niezależnych*. Ale — trochę cierpliwości. Nasze „niestety” wygląda coś w tym roku na bardzo krótkotrwałe.

*

Podpipięta interpeluje nas, dlaczego nie zabrałszy dotąd głosu w sprawie żydowskiej. Dorabia przytem jakiś dowcip lekki i zgrabny w styl — imię pana Podpipięty, co jest naturalne, lecz jednocześnie insynuuje *Odnowie* oportunizm, że to w odpowiednich warunkach nawet cały rocznik poświęcimy Żydom, co już stanowczo nie licuje z prawością pana Longinusa.

Owszem, będziemy pisać w sprawie żydowskiej. Na razie dostrzeżliśmy sprawy niepomniernie ważniejsze, mianowicie te, które nam uniemożliwiają *rozstrzygnięcie* zagadnień społecznych i narodowych. Dla innych pierwszym celem jest odebranie praw Żydom. Dla nas pierwszym celem jest przywrócenie praw Polakom. I dopóki tych praw nie posiadamy, dopóty *rozważanie* wszelkich kwestyj pozostanie czystą teorią.

Co powiedziawszy, wcale nie uchylamy się od odpowiedzi jasnej. Zgadamy się, że Żydów w Polsce jest za dużo, że reakcja antysemiticka w szerokich warstwach społecznych nie powstała bez powodu. Niepodobna nie liczyć się z faktami. Jeśli Polacy mają odwagę i słusność przeprowadzać, na przykład, reformę rolną kosztem autochtonów, to niech-że mają odwagę i słusność przeprowadzić reformę

mniejszościową kosztem przybyszów. A że o tem chcemy kiedyś mówić, a nie krzyżeć, to już niechaj tam będzie policzone na rachunek notorycznego „masoństwa i komunizmu” w *Odnowie*.

NOWOROCZNE ROZWAŻANIA I HOROSKOPI.

Poziom artykułów noworocznych w roku bieżącym można określić naogół jako bardzo wysoki. Trzeźwa ocena dorobku politycznego lat ostatnich, śmiałe przyznanie się do beznadziejnego stanu teraźniejszego, wreszcie wskazówki na przyszłość od głębokich prawd moralnych aż do wyzwania — oto dowody, że prasa zdaje sobie sprawę, dokąd zaszliśmy i dokąd iść mamy.

Ustępy pełne otuchy ma artykuł p. Kozłowskiego w *Wieczorze Warszawskim*:

„...ujawniające się rozbitcie jest tylko powierzchowne; wbrew pozorom Naród, jako organizm zbiorowy, musi posiadać i posiada instynkt samozachowawczy i rodzącą się z niego wolę zbiorową. Tkwi ona głęboko w duszy narodu pokładem narzuconych przez różne warunki zewnętrzne sprzecznych interesów i poglądów.

Woli Narodu nie trzeba i nie można tworzyć. Bezowocne są tu wszelkie wyrozumowane, wykombinowane przez jednostki „podejścia” i „chwyt”. Wolę Narodu trzeba przez pozostające z nią w żywym, uczuciowym związku działania jednostek — pobudzić. To jest zadanie wszystkich bez wyjątku uświadomionych członków Narodu”.

Warszawski Dziennik Narodowy kładzie swoje kropki nad „i”, wskazując wyraźnie na komunizm i żydostwo, jako cel aktywności społeczeństwa:

„Położenie zewnętrzne i układ stosunków europejskich nakazuje nam przeto konsolidację, możliwą tylko przez uporządkowanie naszych stosunków wewnętrznych i wywołanie polityki polskiej z pod wpływów polityki żydowskiej. Gdy o tem myślimy, przypominają się słowa ks. Robaka: ...dom oczyścić z śmieci, Oczyścić dom, powstaram, dom oczyścić, dzieci!”

Goniec Warszawski:

„Wbrew wszelkim pozorom niebezpieczeństwo komunistyczne jest dziś w Polsce bliższe i groźniejsze, aniżeli w jakimkolwiek innym okresie naszej niepodległości. Przepaść, jaka dzieli wciąż naród od państwa, oraz bezwład społeczeństwa, prowadzą prostą drogą do zwycięstwa żywiołów wywrotowych frontu ludowego czy komunizmu, co zresztą w dzisiejszej sytuacji wypada na jedno”.

Pełen entuzjastycznego optymizmu wstępuje w rok nowy *Dobry Wieczór*, który w ocenie sytuacji wykazuje prawdziwą *splendid isolation* nawet w stosunku do pokrewnej prasy sanacyjnej:

„Odszedł już rok stary, rok przełomu, w którym po długotrwałym kryzysie odczuliśmy przypływ nowej energii i polepszenie na wszystkich niemal polach życia społecznego i gospodarczego. Polepszenie to nastąpiło nie tylko dzięki zmianie warunków zewnętrznych i konjunkturze światowej, ale również dzięki planowym i celowym wysiłkom rządu, samorządów terytorjalnych i gospodarczych i twórczej inicjatywy prywatnej”.

Zwłaszcza tej ostatniej...

Jakby odpowiedzią na ów zachwyt jest opis wieczoru sylwestrowego w Krakowie, zamieszczony w *Głosie Narodu*:

„Ruch wieczorny i nocny nie wykazywał takiego nasilenia, jak przed kilku laty... kina miały powodzenie... Gorzej było z lokalami rozrywkowymi. Z małymi wyjątkami wszędzie niemal było przestrono. Co ciekawsze, większymi pustkami świeciły lokale podrzędniejsze, niż pierwszorzędne. *Wbrew bowiem zapewnieniom urzędowym szary człowiek tkwi nadal po uszy w kryzysie*, nie ma pieniędzy na zabawę”.

Powodów obecnej sytuacji doszukuje się *Polonia*:

„Dziś mniej się u nas mówi o patriotyzmie, a za to więcej o t. zw. państwowości, mniej o służbie dla dobra powszechnego, a więcej o służbie dla państwa. Pojęcia patriotyzmu, państwa, a nawet ojczyzny przeżywają ciężkie przesilenie. Znaleźli się w wielu krajach ludzie, którzy siebie i szczupłe grono swoich zwolenników utożsamiają z ojczyzną i państwem, a olbrzymią większość obywateli uważają tylko za przedmiot swojej władzy, za narzędzia pracy i dostarczycieli środków finansowych i żołnierzy. Służbą dla dobra powszechnego jest w ich przekonaniu troska o zachowanie władzy w ich rękach”.

W zupełnie odmienny ton uderza *Dziennik Popularny*:

„Tragizm chwili dzisiejszej do niebotycznych urasta rozmiarów, gdy się widzi, że świat, ogarnięty okrutnym szaleństwem samozatrącenia, miast ratować miliony ludzkich istnień, ginących w śmiertelnej otchłani nędzy i krzywdy społecznej — wykuwa straszliwe narzędzia mordu i zagłady i gorączkowo gotuje się do zdruzgotania pokoju, do rozpętania najstraszliwszego z nieszczęść: wojny.

Czyżby w tym świecie zabrakło siły, która by wreszcie przeciwstawiła złym masom szaleństwa, zburzyła czarny Olimp piekieł i krzywdy i wyłoniła z siebie w twórczym porywie świat pokoju, braterstwa i świętego rytmu pracy? Nie! Tej siły nie zabrakło!... Powstaje! — na wielkie zmiany, na wielkie sprawy świata, na wielki dzień wyzwolenia. Te siły, tę moc żywą czują już w sobie nieograniczone rzesze cierpiących, nieprzełiczone zastępy ludu! Tę siłę witamy!”

Syntezę wrażeń artykułów noworocznych znajdujemy w *Kurjerze Polskim*:

„Chmurnie przedstawia się horyzont naszego życia publicznego, oświetlony reflektorami noworocznej prasy. Użyte przez płk. Miedzińskiego (w „Gazecie Polskiej”) określenie „dekompozycja”, wydaje się trafnie odzwierciedlać rzeczywistość.

Coprawda, niektóre grupy zaprzeczają temu. Tak np. z lewicy padł głos, że w przeciwnieństwie do ogólnego chaosu lewica znajduje się w trakcie postępującej kompozycji — konsolidacji. Nie wydaje nam się, aby istotnie tak się działo. Lecz gdybyśmy się nawet mylili, to wysoce wątpliwą byłaby trwałość takiej kompozycji. Dziś jednoczy ją może cement opozycyjnej negacji.

...Energja społeczna ma dziś niezmiernie wąskie pole, na którym mogłaby manifestować się w konkretnym, samodzielnym działaniu. Gdziekolwiek spojrzymy — wszędzie jako transformator i regulator wszystkich bardziej odpowiedzialnych kierunków działania występuje aparat urzędowy, półurzędowy, a w najlepszym razie pseudosamorządowy. Jednostka i wolne formy organizacyjne jej życia mają niezmiernie mało do powiedzenia, a jeszcze mniej do zrobienia”.

Jak widzimy, w prasie, która jest zwierciadłem życia, panuje, zwłaszcza co do środków zaradczych, chaos i owa „dekompozycja” płk. Miedzińskiego. O niej mówimy na innym miejscu.

A. W.

Z Prasy Zagranicznej

SWOISTA DOKTRYNA MONROE'GO.

Zaproponowany przez Bułgarię pakt przyjaźni między Bułgarią a Jugosławią uzyskał aprobatę państw Małej Ententy oraz Turcji i Grecji. Prasa belgradzka przywiązuje do niego wielkie znaczenie, uważając go za początek nowej ery na Bałkanach pod hasłem: „Bałkan dla ludów bałkańskich”. *Vreme* pisze:

„Dotychczas Bałkan był rodzajem terenu manewrów dla mocarstw, które wyzyskiwały dla swoich celów wewnętrzne przeciwności między państwami bałkańskimi. Nasz pakt z Bułgarią zakończy wreszcie naszą rolę państw drugorzędnych, rolę wołów roboczych, które pracowały na użytek mocarstw. Do tej pory wielkie państwa w t. zw. „sferach zainteresowania” na Bałkanach troszczyły się nie o dobro bałkańskich narodów, ale o własną korzyść”.

Pravda uważa, że

„Odtąd hasło „usamodzielnienie Bałkanu” przestanie być pustym dźwiękiem, ale zamieni się w rzeczywistość”.

Dodaje *Politika*:

„Także i wielkie mocarstwa będą musiały dojść do przekonania, że między Bułgarią a Jugosławią już nie istnieją żadne rozbieżności, a których budowały dotychczasową swą politykę. Stwierdzić należy, że nie cała prasa francuska wiadomościami o pakcie przyjęła z radością”.

Wszystkie dzienniki belgradzkie i sofijskie kładą duży nacisk na fakt, że ani Grecja, ani Rumunia — o Turcji niema tam mowy — nie podniosły żadnych zastrzeżeń co do paktu. Pisma jugosłowiańskie wyrażają nadzieję, że może i Bułgaria wejdzie w bliższe porozumienie z temi dwoma krajami.

PRZEŁOM W POLITYCE SOWIECKIEJ.

Ciekawą syntezę polityki sowieckiej w ostatnich czasach podaje *Le Matin*:

„Aż do ostatnich czasów górowała w polityce zagranicznej Sowietów teza, podtrzymywana przez Kaganowicza, Ordżonikidze i Mikojana, że należy uwagę Niemiec zwrócić na zachód przez wywołanie, za pomocą zdwojonej aktywności rewolucyjnej, wrażenia, że Francji grozi komunizm.

Teza ta nie dała się długo utrzymać wobec oporu społeczeństw zachodnich. Zwalczała ją już od września Mołotow, przez rady komisarzy ludowych, zgodnie z zapatrywaniem „młodych”, Idanowa i Andrejewa, uważając, że ta akcja może zwrócić przeciw Sowietom kraje, jeszcze usposobione do nich życzliwie.

Wyzyskując zainteresowanie kół przemysłowych oraz dawne zażyłe stosunki wojskowe, Mołotow dąży do normalizacji stosunków niemiecko - sowieckich, znajdując dla swych zamiarów poparcie Schachta, który w polepszeniu stosunków z Z. S. S. R. widzi możliwość wywarcia presji na zachód w celu otrzymania kolonii.

W chwili obecnej żadna z tych dwóch taktyk nie ma wyraźnej przewagi. Stalin się jeszcze nie wypowiedział. Ale fakt, że Mołotowa wyznaczono do negocjacji z ambasadorem Rzeszy w Moskwie, von

Schulenburgiem, wskazuje, że szala może się łatwo przechylić na jego stronę.

W jednym i drugim wypadku główna troska obu klanów bolszewickich pozostaje ta sama: skierować uwagę Niemiec na zachód”.

ZAINTERESOWANIE AMERYKI.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej zainteresowały się bliżej polityką niemiecką z chwilą, gdy zawarty układ niemiecko japoński dotknął bezpośrednio ich interesów na oceanie Spokojnym. Od tej pory prasa amerykańska uważnie śledzi posunięcia polityczne w Europie. Podaje *New York Herald Tribune*:

„Istnieją obawy, że na presję francusko - angielską, wywieraną w związku z wypadkami hiszpańskimi, Niemcy mogłyby odpowiedzieć nowym aktem gwałtu. Z drugiej jednak strony presja owa dowodzi wzmocnienia porozumienia między Francją i Anglią”.

Ten sam niepokój wyczuwa się w artykule *New York Times'a*:

„W Europie wyczuwa się obawy przed nowym gwałtem ze strony Hitlera, o teatralnym efekcie, tym razem w Hiszpanji. Źródłem tej obawy miałby być fakt, że Niemcy przewidują ponowną izolację w Europie, będącą wynikiem stałości i siły polityki francuskiej oraz skutkiem trójstronnej umowy walutowej. Nawet pesymiści przestają wierzyć w możliwość rewolucji we Francji”.

Pomimo zapewnień prasy amerykańskiej, w prasie franc. nie znać tych obaw. Myśli się natomiast coraz poważniej o sposobach zakończenia wojny hiszpańskiej. Wypływa znowu na widownię pomysł Locarna, jako czynnika pokoju w Europie. Po staremu w takim Locarnie nie byłoby mowy o Polsce. Pisze bowiem *Le Temps*:

„Stały układ w sprawie zagadnienia hiszpańskiego mógłby być punktem wyjścia dla rozmów w sprawie nowego zachodniego Locarna, z wzajemną gwarancją Anglii, Francji, Włoch i Niemiec, a z gwarancją zbiorową czterech mocarstw względem Belgji. Ziszczenie się nadziei na ten sposób uregulowania wszelkich kwestyj spornych w Europie i ustabilizowania stosunków międzynarodowych zależy jednak od milczącego w tej chwili Berlina i od decyzji Hitlera”.

Więc znowu bez nas...

WATYKAN MÓWI.

Wbrew rozszerzanym pogłoskom Ojciec św. nie wypowiedział się nigdy za frontem nacjonalistów hiszpańskich, podobnie, jak i nie wypowiedział się za Frente Popular. To też enuncjacja wigilijna była oczekiwana z dużym napięciem i wywołała liczne komentarze zwłaszcza we Francji. Pisze o niej *Journal des Débats*:

„Ojciec św. nie ograniczył się do pozostawiania w teorii; wskazał zastosowanie bezpośrednie. Nie tylko przedstawił groźbę złych instynktów, ale zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo takiego przeciwdziałania, które wychodzi z fałszywego założenia. Nie wszystkie bowiem środki są dobre dla zwalczania złego. Niektóre z nich, zamiast nałożyć złu wędzido, wzmagają jeszcze zamieszanie. Widzi się

kraje i rządy, które, zwalczając doktryny nienawiści i gwałtu, same kierują się uczuciem egoizmu i nietolerancji.

Ojciec św. nie wymienił nikogo, ale nie jest przypadkiem, że przemówienia tego nie mogło transmitować radio niemieckie.

Należy się spodziewać, według słów przemówienia, że „pokój będzie utrzymany tam, gdzie jeszcze panuje, a przywrócony tam, gdzie pozostał tylko wspomnieniem”.

Komentuje *L'Intransigeant*:

„Mówi się: „wybierajmy między Berlinem a Moskwą”. Mówi się: „walka rozgorzała między dwoma światopoglądami, między dyktaturą proletariatu a dyktaturą nazistów”. Jest to fałsz — należy tylko spojrzeć na te rzeczy, jak Ojciec św., z wyżyny. Prawdziwa walka, jedyna, z którą należy się liczyć, wre między materjalizmem — czy to morskiewskim, czy berlińskim — a idealizmem. Mówi się o *mistyce* „komunistycznej”, o *mistyce* „hitlerowskiej”, ponieważ nasza epoka nie zdaje sobie sprawy z sensu tych słów. Bo cóż to za mistyka, ugruntowana na apetytach? Ojciec św. wskazuje nam inną drogę pokoju, opartą na starej, a zaniedbanej nauce boskiego głosiciela ideału.”

KOLONJE.

Chodzi o kolonie polskie — o tereny emigracyjne dla nadmiaru ludności. Sprawę tę porusza w nader przychylnym dla nas artykule *Gazette de Lausanne*. Wspomniawszy o silnej polskiej rozrodczości, o projektach emigracyjnych żydowskich Żabotyńskiego i Tartakowera, pismo konkluduje:

„Raz po raz w całym świecie rozbrzmiewają argumenty za słusznym rozdzieleniem surowców i za bardziej zrównoważoną, a wydatniejszą, wymianą ekonomicznych wartości. Do pełnej realizacji wymiany ekonomicznej nie wystarcza umożliwienie obrotu kapitałów i towarów, ale konieczną jest nadto pewna równowaga demograficzna między krajami, czyli innymi słowy, ułatwienie emigracji z krajów przeludnionych.

W ich liczbie Polska jest na pierwszym miejscu. Położenie, w jakim się znajduje, zmusza ją do prowadzenia polityki emigracyjnej bardzo delikatnej, która może doprowadzić do posiadania własnych kolonii.”

POLONICA.

Le Journal de Genève zamieszcza artykuł p. t. „Rozwój Polski”. Artykuł, utrzymany w tonie życzliwym, omawia szereg inwestycji, jak linję średnicową, jak Porąbkę, oraz wystawę „Warszawa przyszłości”. Wiadomości korespondenta z Warszawy, podpisanego Serge J. Gloor., są jednak, pomimo tonu życzliwego, niezbyt głębokie:

„Polska obchodzić będzie w roku 1945 dwudziestą rocznicę swej niepodległości. Chce też wykazać w tym roku, na wielkiej wystawie w Warszawie, czego może dokonać w czasie względnie krótkim kraj młody i energiczny, nie posiadający żadnych innych kapitałów prócz pracy i inteligencji swych mieszkańców”.

Ani młody, ani energiczny, a nie tak znów zupełnie goły...

Azet.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; 1/2 st. — zł. 125.—; 1/4 str. — zł. 75.—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI.

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA”, SP. Z OGR. ODP.